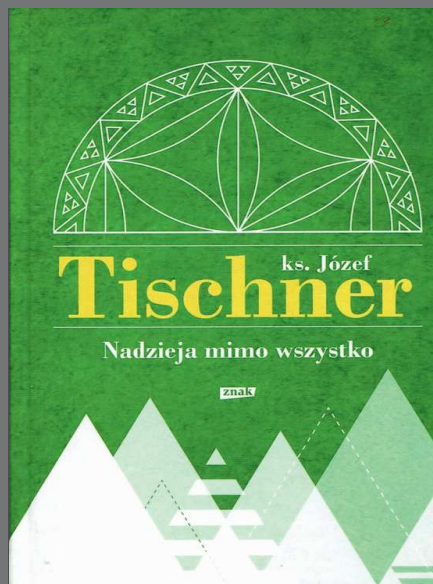




Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXV Nr 12(292) Żelów, grudzień 2020

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Ernesta Brylla, Dominika Ćwika, Roberta Gawłowskiego, Magdaleny Kapuścińskiej, Henryka Makowskiego, Iwony Pinno, Adama Ryszarda Prokopa, Jerzego Beniamina Zimnego

Andrzej Dębkowski – *O tradycjach Bożego Narodzenia*

Leszek Żuliński – *Wiersze „wsobne”*

Józef Baran – *Spadając, patrzeć w gwiazdy* (57)

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności* (170)

prof. Ignacy S. Fiut – *Sztuka i kosmiczne uniwersum*

Stefan Jurkowski – *Ambiwalencja egzystencjalna*

Joanna Friedrich – *Suchar codzienny*

Andrzej Walter – *Na strunach waszej wrażliwości*

Kazimierz Ivosse – *Hej, kołęda, kołęda...*

Miroslaw Osowski – *Moja walka z rakiem* (15)

Wojciech Łęcki – *Wiersze do napisania*

Dariusz Pawlicki – *Kilka dni przed Bożym Narodzeniem*

Jerzy Stasiewicz – *Przypomnienia Pawlickiego*

Ryszard Mścisz – *Nad Sanem rodzi się poezja*

Rena Marciniak-Kosmowska – *Przebudzenie*

Kinga Młynarska – *„Zamyślenia” Elizy Segiet*

Paweł Kuszczyński – *Wizerunki zbliżeń*

Danuta Heller – *Z powieściami jest jak z jedzeniem Witryna*

Opinie, Noty, Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkice

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia



Z cyklu: Pejzaże Polski

Fot. Andrzej Dębkowski

Kronika

Zmarł Piotr Szczepański



23 listopada 2020 roku zmarł w Gdańsku poeta, plastyk i animator kultury **Piotr Szczepański**. Urodził się w 1954 roku w Miłokajkach. Jako plastyk uprawiał tkaninę artystyczną specjalizując się w miniaturze tkackiej, stworzył specyficzną technikę tkacką, uczestniczył w wielu wystawach zbiorowych i indywidualnych w kraju i za granicą.

Prowadził Klub Osiedlowy Bolek i Lolek w Gdańsku, tam Scenę Prezentacji Poetyckich i nieformalną „szkołę haiku”. Zdobył nagrodę na International Kusamakura Haiku Competition w Japonii 2001. Był polskim koordynatorem Europejskiego Programu Prezentacji Twórczości Niewidomych Poetów „Liryczne Mosty”, członkiem Gdańskiej Grupy Autorów Haiku, Związku Literatów Polskich, Europejskiego Stowarzyszenia Autorów „Koga” z siedzibą w Minden, założycielem Międzynarodowej Grupy Twórczej „QuadArt”. Opublikował kilkanaście tomów z poezją.

(Fot. <https://www.facebook.com/piotr.szczepanski>).

Zmarł Władysław Żołnowski



Zmarł **Władysław Żołnowski**. Poeta i prozaik, członek Związku Literatów Polskich Oddział w Opolu. Urodził się 3 września 1932 roku w Rohaczynie.

W czasie wojny ocalał z rzezi jaką zgromadziły oddziały UPA mieszkańcom jego rodzinnej wsi. Po wojnie osiedlił się w Namysłowie. Studiował polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim. Pracował jako nauczyciel, bibliotekarz i pracownik domu kultury.

Jako autor wspomnień zadebiutował publikacją „Ogniem i karabinem” w miesięczniku „Semper Fidelis” w 1990 roku. Jako poeta debiutował w 1994 roku na łamach „Kresów Literackich”. Publikował swoje utwory w „Stronach”, „W drodze”, „Kresach Literackich”, „My na Wschodzie”.

(Fot. <https://www.facebook.com/Zwazek-Literatow-Polskich-Oddzial-Opole>).

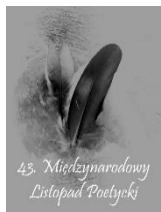
Odeszli także

Andrzej Turczyński (1938-5.11.2020) – poeta, prozaik, eseista i tłumacz mieszkający w Koszalinie i Słupsku. Laureat licznych nagród m.in. Nagrody Fundacji Kultury za Rzeki popiołu (1994), Nagrody im. Księcia Konstantego Ostrońskiego (1997), Nagrody im. Świętego Brata Alberta (1999), Nagrody Specjalnej Ministra Kultury (2005, 2010). Nominowany do Nagrody Literackiej NIKE za *Znużenie* (2001), do Paszportu Polityki (2001) oraz finalista Nagrody Literackiej GDY-NA za *Koncert muzyki dawnej* (2012).

Jerzy Adam Sokołowski (1938-17.11.2020) – był kierownikiem działu literackiego w miesięczniku „Warmia i Mazury”, zastępcą redaktora naczelnego i dyrektorem Wydawnictwa Pojezierze. W latach 1980-1981 i 1984-1987 był członkiem Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich w Olsztynie. W 1989 roku został jednym z inicjatorów wydawnictwa Zodiak i do 1990 roku był jego redaktorem naczelnym. Mieszkał w Olsztynie.

Zadebiutował w 1957 roku drukiem wierszy w tygodniku „Kierunki”. Zamieszczał na łamach „Warmii i Mazur” liczne artykuły, recenzje i wiersze. Publikował również w „Głosie Olsztyńskim” oraz „Gazecie Olsztyńskiej”.

Konkursy



43. Międzynarodowy Listopad Poetycki w Poznaniu

Primum non nocere

Tegoroczna 43. edycja Międzynarodowego Listopada Poetyckiego odbywa się w innej formie niż dotychczasowe. Oto bowiem ludzkość została obciążona koronawirusem COVID-19. Choroba zakaźna spowodowała już śmierć setek tysięcy ludzi, zarażone zostały miliony. Prognozy lekarzy i epidemiologów dotyczące przebiegu pandemii są w większości pesymistyczne, czyli znikome jest prawdopodobieństwo jej wygaśnięcia w bliskim czasie.

Opierając się na przypuszczeniach kompetentnych osób, w poczuciu odpowiedzialności za zdrowie i życie literatów, których chcieliśmy zaprosić do bezpośredniego udziału w festiwalu, a także nie chcąc w najmniejszym nawet stopniu narażać sympatyków poezji, mogących przybyć na spotkania z posłannikami Erato, jak również troszcząc się o gospodarzy owych rendez-vous, postanowiliśmy, że ten Listopad zostanie przeprowadzony przede wszystkim za pośrednictwem Internetu. Poprzez ów komunikator społeczny ogłaszamy werdykty jury Konkursu o Nagrodę Literacką 43. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego oraz Konkursu im. Kazimierza Iłakowiczówny Na Najlepszy Książkowy Debiut Poetycki. W taki sam sposób informujemy o przyznaniu Nagrody Za Całokształt Twórczości Literackiej. Powyższe informacje są publikowane na stronie internetowej www.zlp.poznan.pl i stronie Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu na Facebooku. Tam też będą zamieszczane niektóre utwory poetyckie oraz inne ważne materiały i informacje związane z Listopadem.

Wszystkim literatom, którzy nadesłali swoje utwory, bardzo dziękujemy za ich udostępnienie. Jednocześnie przepraszamy, że nie możemy teraz Państwa zaprosić do Poznania i innych miejscowości Wielkopolski. Pozostajemy w nadziei, że spotkamy się w roku 2021.

„Primum non nocere” – jedna z naczelnych zasad etycznych w medycynie, może i powinna być przestrzegana we wszystkich obszarach życia społecznego i osobowego, a więc także na niwie organizowania takiego zdarzenia literackiego jakim jest bieżący Międzynarodowy Listopad Poetycki. To było oczywiste dla Komitetu Organizacyjnego festiwalu przy podejmowaniu decyzji o przebiegu Listopada.

Szczególne podziękowania kierujemy do władz samorządowych Poznania, Wielkopolski oraz powiatowych i gminnych. Dzięki ich wsparciu finansowemu, a także organizacyjnemu, tegoroczny Festiwal udało się przygotować i realizować, chociażby, albo – aż w ograniczonej formule. Niemożność jego przeprowadzenia wedle wcześniej uzgodnionego, precyzyjnego scenariusza, martwi chyba wszystkich zainteresowanych.

Wierzmy, że za rok przedmiotowa impreza literacka przebiegnie bez jakichkolwiek ograniczeń.

Z okazji 43. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego publikujemy: almanach poetycki, almanach prozy, 3. numer kwartalnika literackiego „Re-Wiry” i, jak przypuszczamy, z wielu względów potrzebną książkę z wierszami poświęconymi zmarłym Koleżankom i Kolegom z poznańskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

Zbigniew Gordziej,
Przewodniczący Komitetu Organizacyjnego
43. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego

PROTOKÓŁ

z posiedzenia Kapituły 36. Konkursu im. Kazimierza Iłakowiczówny na debiut roku 2019, w dniu 12.09.2020 w Poznaniu

Kapituła w składzie: **Jerzy Benjamin Zimny** – przewodniczący Kapituły, poeta, krytyk, wiceprezes Zarządu Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu; **Zbigniew Gordziej** – członek Kapituły, poeta, prozaik, krytyk, publicysta, felietonista, prezes Zarządu Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu; **dr Karol Samsel** – sekretarz Kapituły, poeta, krytyk i historyk literatury polskiej, dr nauk humanistycznych na UW; po rozpatrzeniu zgłoszonych do konkursu 15 książek poetyckich postanowiła przyznać: **Nagrodę Główną 36. Konkursu im. Kazimierza Iłakowiczówny: Monice Lubińskiej** z Katowic, za tom poezji pt. „Nareszcie możemy się zjadać” – Wyd. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Dom Literatury w Łodzi, 2019 oraz **Piotrowi Jemiołowi** z Krakowa, za tom poezji pt. „NEKROTRIP” – Fundacja KONTENT w Krakowie, 2019.

Ponadto Kapituła postanowiła wyróżnić: **Kaspra Pfeipera** z Katowic za tom poezji pt. „Ad-block” Wydawca: Dom Literatury w Łodzi, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, 2019.

PROTOKÓŁ

obrad Jury Nagrody Literackiej 43. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego na poetycką książkę roku

W dniu 4 października 2020 roku obradowało Jury Nagrody Literackiej 43. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w składzie: **Zbigniew Gordziej** – przewodniczący jury, poeta, krytyk, prozaik, publicysta, felietonista, prezes Zarządu Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu; **Andrzej Walter** – sekretarz jury, poeta, krytyk, dziennikarz i fotografik z Gliwic; **Rafał Rózewicz** – członek jury, poeta, prozaik i krytyk literacki z Wrocławia.

Jury postanowiło nominować do ww. Nagrody następujące pozycje literackie: **Annę Buchalską** – *Drobnostki*, **Marię Magdalenę Poczaj** – *Apokryfy uliczne*, **Ryszarda „Sidor” Siodorkiewicza** – *Ruchome obrazki (wiara, nadzieja, miłość)*, **Adriana Tujka** – *Niebieskie nie schie, Tadeusza Zawadowskiego* – *Budzik z opóźnionym zapłonem*.

Nagrodę Literacką 43. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego za poetycką książkę roku otrzymuje **Maria Magdalena Poczaj** za tom „Apokryfy uliczne”

Nagrodę za Całokształt Twórczości Literackiej otrzymała – Wanda Wasik

Andrzej Walter

Na strunach waszej wrażliwości

Poznałem i nad wyraz polubiłem wielkopolskie środowisko literackie, a ono, muszę przyznać, co chwilę odpłaca mi za ów subiektywny afekt arcyciekawym tomem poezji.

Moim aktualnym obiektem literackiej fascynacji stał się najnowszy tom **Marii Magdaleny Poczaj** „Apokryfy uliczne”. Przyznam otwarcie, ów tom wzbudził we mnie świeży i szczerzy zachwyt zaskakującymi metaforami, przepięknym zobrazowaniem lirycznym oraz wyjątkową bezpośredniością w nawiązaniu głębokiej i intymnej relacji z czytelnikiem. Przyznam też, że osobę Autorki znam dość dobrze, zawsze ją wysoko ceniłem jako poetkę oraz twórczynię literacką, ale tym razem i tym tomem przekroczyła Ona pewien Rubikon twórczości poetyckiej w stopniu wykraczającym poza siebie. Do dziś bowiem nie czytałem wierszy, które tak śmiało, mądrze i lirycznie przedstawiałyby świat ludzi spoza nawiasu społecznego, ludzi z pogranicza światów, kłoszardów, włóczęgów, bezdomnych, bezpańskich, wolnych ludzi, których droga życia skierowała na społeczne manowce, na pozornie bezludne wyspy ptasiego życia złudnie pozbawionego potrzeb i relacji. To ludzie mijani przez nas każdego dnia w każdym większym mieście, ludzie cienie, ludzie duchy, ludzie tajemnice, których zauważenie i dostrzeganie powoduje w nas erupcję sumienia, albo i nie powoduje i właśnie wtedy być może mamy problem.

Magda pokazała ten świat nowatorsko, odważnie, ale z dystansem, intymnie, subtelnie, z ogromną kulturą, z oddalenia, poprzez delikatną mgiełkę słowa, zamyślenia i z melancholijną barwą wzbudzenia naszej: czułości, wrażliwości oraz empatii.

Kto ma serce, popatrzy w serce i zobaczy tu inne serce, zobaczy samego siebie w prawdopodobnym przeciwieństwie scenariuszu, „raz na wozie, a raz pod wozem”, wreszcie zobaczy ów inny świat, tak genialnie rozpoznany i ujęty w wierszach przez tę świetną Autorkę. To świat: biedny, skromny, umniejszony do radości z drobnostek, a jednocześnie świat tak nieskończenie wolny, wolnością wydawałoby się bezwarunkową, wydaje się pełną, albo i przepełnioną – czym? – ależ tym o czym nic przecież nie wiemy.

Magda pyta, nie pytając, opowiada, nie snując czczych historii, przedstawia nam doskonale wykadrowane klisze szlachetnie wypełnione słowem tak dyskretnie i cicho wyrażonym, że właściwie stoimy tam, obserwujemy z Nią i czujemy tak jak i Ona, a może nawet przeistaczamy się w tych kłoszardów, choć przez moment czujemy ich głód, ich lęk, ich marzenia, ich przeznaczenie, ich trwanie i byt nadrealny, pełny, urodzony w słowie.

Potęga tej poezji rzuca nami o ścianę, którą społeczeństwo na nieszczęście postawiło, aby nas odgrodzić od „tych ludzi”, od współczesnych trędowatych, od jednostek

nieprzystosowanych i odrębnych, od dziwaków, śmierdzących innym zapachem odszczepieńców, słowem od... obcych.

Kultura obcego jest bowiem bardziej skomplikowana niż nam się wydaje. Jest reakcją na emanację sterylności i higieny współczesności, jest przesadną obawą przed innością, klaustrofobiczną wizją synoptycznej klęski wobec zarazy obcego i traumą wręcz wobec tego, czego po prostu nie znamy.

Zagubiliśmy gdzieś chrześcijańską otwartość, wnikliwość, ciekawość obcego, życzliwość jego przyjęcia, przyciągnięcia, przytulenia. Cybernetyczny świat rzucił nas w otchłań odseparowanych baniek, w których trwamy w czasie i przestrzeni ograniczonej, zamkniętej i ukrytej gdzieś na łączach. Realny świat – dotyk, spotkanie, relacja – coraz mniej nas zajmują. A człowiek – ten stał się jedynie przeszkodą, zawadającym nam czynnikiem ograniczającym naszą pseudo wolność. Do tego skierowano naszą uwagę na inne problemy, zagadnienia i niby ważne tematy.

Maria Magdalena Poczaj w swych „Apokryfach ulicznych” nie rozdrapuje ran. Nie grzebie w śmieciach. Nie wyrokuje i nie ocenia. Ona jedynie ukazuje, opisuje, może powieździemy z odcieniem pytańnika – szkicu: samotność, zagubienie, nieśmiałość, niepewność, wędrówkę i miłość. Miłość do takiego wyboru, albo do takiego przeznaczenia, albo też do skazania na bezdomność – Autorka jednak nie szuka przyczyn czy motywów, te nie mają dlań znaczenia i dla nas mieć też nie powinny. Rzeczywistość i prawdziwość serca nie pyta o przyczyny zakochania się, to się po prostu dzieje i to się po prostu pielęgnuje. Tak samo z „tymi ludźmi”. Oni po prostu są, są obok nas, żyją, czegoś potrzebują, są tacy sami jak my, a jednak są... inni.

Można zarzucić tej poezji pewną naiwność, jednolitość, jednostronność wkraczającą wręcz w monotonię treści, ale zauważmy przy tym, jak to jest napisane, jaką frazą i metaforą operuje Autorka, właściwie zaskakując nas każdym wersem, każdą sytuacją i każdym spotkaniem. To jest bowiem tom drogi, pewnego rodzaju drogi. Tom spotkania. Nie tylko z nimi. To jest też spotkanie z własnym sumieniem, z samym sobą w lustrze dnia i rzeczywistości. To zarówno – takie spotkanie jak i lekcja, czy może nawet test naszej wrażliwości, empatii, umiejętności pochylecia się nad losem bliźniego, niekoniecznie obcego czy bezdomnego.

I w tej materii poezja ta wykracza poza samą siebie. Poza Autorkę. Wiersze te stanowią sztukę najczystsza w swej możliwej formie, są koncentracją słów – esencją zbliżoną do ideału w uczuciu, relacji i pochyleciu się nad – no właśnie, nad kim i nad czym? Zadajcie sobie takie pytanie wczytując się w „Apokryfy uliczne”. To nie będzie lektura nieważna, obojętna i przemijająca. Ta lektura

odcisnie się na was dozwonnym piętnem, utkwii w was na dłużej i pójdzie z wami głębiej. Czymże byłby jednak ten tekst bez żadnego realnego przykładu (...)

*Upstrzona przez gołębie
ponacinana szczyrykiem księżycą
to jego Atlantyda
dobrze mu się na niej siedzi
i przeżuwa życie*

*zegar na kościelnej wieży
spokojnie odmierza kroki do wieczności
płatany darmo rozdają patchworkowe cienie
na trawniku bieleją niedopałki
może stokrotki*

*dopiero gdy machinalnie
ręką sięga pod ławkę
szklany dotyk odziera go ze złudzeń*

*wczoraj wyszczył ostatnią
kroplę lata*

BEZPAŃSKIE

*Małe porzucone światy
z jeziorzami najwierniejszych spojrzeń
wychudłymi ciałkami
wciskają się za pazuchę
wyświechtanej kurtki kłoszarda
i liżą jego twarz
najszcześniejszą
na całym tym
obskurnym splechaku
rzeczywistości*

*Tak trudno wyjąć
z publicznych ram
i oddać do renowacji
w pracowni serca
ten chroniczny pejzaż
z niedomym cieniem
człowieka*

*jeszcze trudniej
przyznać się do niego
w świetle dnia
kiedy kopie
swoje życie
jak pustą puszkę
po piwie*

ŚPIĄCY

*Tak śpią królowie życia
panowie losu
wystarczy kawałek wycieraczki*

(Dokończenie na stronie 4)

Na strunach waszej wrażliwości

(Dokończenie ze strony 3)

i przekonanie

że nikt nie otworzy zapasowych drzwi
na tyłach secesyjnej kamienicy

kołnierarz wytartego płaszcza
postawiony do góry
na wszelki wypadek
z kieszeni wystaje berło
w kolorze butelkowej zieleni

takiego snu nie przerwie
pokasztywanie miasta
ani przeciągły ryk syreny

trzeba się do niego ułożyć
po wielu nieprzespanych nocach
przeganianych z kąta w kąt
z ławki na ławkę
z parku do parku

ONI

Grzeją się przy chimerycznym ogniu
na złomowisku życia
na peryferiach świętego spokoju

wśród kuksańców i poszturchiwań
od razu robi się ciepłej
a ileż wesołości płynie rymostokiem słów

nagle któryś intonuje kolędę

pojmują że są braćmi w drodze
i oczy im wilgotnieją

Można te wiersze czytać na okrągło. Przez
chwilę poczuć pewną odmianę wolności kło-
szarda i dostrzec jak:

Kolczasta akacja
drapie niebo
w podbródek

z ranki w chmurze
ścyczy się stróżka światła

albo usłyszeć jak:

Smutno szumią
parkowe latarnie
nad bezradnością
potłuczonych alejek

Post scriptum:

Należy w tym miejscu dodać i zauważyć
jak znakomicie ów tom Marii Magdaleny
Pocgaj „Apokryfy uliczne” jest wykonany edy-
torsko, wydany przez Wydawnictwo Miejskie

Posnania i uzupełniony graficznie przez jedno
zdjęcie autorstwa Mai Rausch oraz dziewięć
zdjęć samej Autorki świadczących o ogrom-
nym wyczuciu fotograficznym. Plastyczność
tej opowieści o świecie i ludziach potęgują też
właśnie te fantastyczne, nastrojowe fotografie
świadczące o kunszcie, wrażliwości oraz
prawdziwości wyczucia i postrzegania sztuki.

Andrzej Walter

Maria Magdalena Pocgaj, „Apokryfy uliczne”. Wy-
dawnictwo Miejskie Posnania, Poznań 2019, s. 76.



Wiersze do napisania

Z powodu ciężkiej i długiej choroby mu-
szę często zabijać czas szperaniem w Interne-
cie. Tym razem trafiłem na nowe wiersze
Bohdana Zadury w oryginale i w przekła-
dach na wiele języków (Akcent 4/2019). Prze-
kładów nie tykałem, ponieważ nie jestem po-
liglotą. Posługuję się tylko dwoma językami
obcymi. Poeta z Puław przeżywa chyba drugą
twórczą młodość, podbijając świat. Tym bar-
dziej przyłożyłem się do lektury, poddając
niektóre wiersze wnikliwej analizie. I przecie-
rałem oczy ze zdumienia. Nowe utwory za-
skoczyły mnie w sposób dotkliwy. Te długie
są nieznośnie przegadane i zieją płyczniami.
Te najkrótsze przytaczam w całości, żeby nie
było, że kłamię.

Za pięć dwunasta

śmierć daje większe możliwości wyboru
dlatego pytamy na co umarł a nie
na co się urodził

Powyższe zdanie złożone, opatrzone tytu-
łem, tylko udaje aforyzm, któremu poeta na-
dał formę wiersza. Głupszego dawno nie czy-
tałem. Śmierć nie daje nie tylko większych, ale
żadnych możliwości wyboru, ponieważ sama
jest jedynie następstwem nieodwracalnych
przyczyn i w całości od nich zależy. To los każ-
dorazowo „wybiera” przyczynę śmierci.
Śmierć nie ma tu nic do gadania. Śmierć to
rozstanie z życiem. Nic więcej. Możliwe jest
więc pytanie: „na co umarł, nie dlatego, że
śmierć daje większe możliwości wyboru”, lecz
z powodu zachodzącego związku przyczyno-
wego, który przy narodzinach nie występuje.
Nie znaczy to wcale, że nie istnieją powody
narodzin. Zatem umiera się na coś, a rodzi z
powszechnie wiadomego powodu. Cały ten
wiersz-aforyzm cierpi na brak logiki. Nawet
tytuł ni z gruszki, ni z pietruszki. Bo niby co się
stanie za pięć dwunasta? Pięć minut przed
śmiercią nikt się nie zastanawia, na co umrze,

bo przeważnie już wie. W przypadku nagłej
śmierci pięć minut przed raczej nie nastraja
do ostatecznych rozmyślań. A co do kostuchy:
„Nie martw się, że w Walentynki nie jesteś za-
kochany, bo w Święto Zmarłych też nie musisz
być martwy”. To jest przynajmniej aforyzm!
Chociaż z portalu Wiocha.pl, a nie z wiersza
wybitnego poety. Aż trzech tłumaczy przeło-
żyło jego dzieło na trzy różne języki i nie zau-
ważyło jego alogiczności. Bałwochwalczy sto-
sunek do autora?

Grudniowy wieczór

Z okna pociągu
widziałem tablicę z napisem
MIĘDZYNARODOWY PARK POKOJU
I PRZYJAŹNI NARODÓW
CMENTARZ WOJENNY

w oknie księgarni
widziałem książkę
„Proroctwa i przepowiednie
o końcu świata i dobru dla Polski”

jestem z domu
chorych na głowę

jedna prośba, Ameryko
czy nie mogłabyś
spełniać swych mitów
u siebie?

Długo nie mogłem zaskoczyć, o co chodzi
z tymi cytatami i Ameryką. To przez tytuł,
który podpowiada całkiem neutralne osadze-
nie wiersza, niczego do niego nie wnosząc. Au-
tor „przemieszczał się w on czas” i prześlizgi-
wał wzrokiem po powierzchni rzeczy. Gru-
dzień nie jest w Polsce miesiącem smuty. Ra-
czej listopad. Twórca zderzył ze sobą treść ta-
blicy z tytułem książki i nie wiadomo z jakiego
powodu atakuje Amerykę za jej mity, zamiast
wykorzystać to zderzenie poetycko. To wina
Ameryki, że miliony Polaków mieszkają w
kraju chorym na głowę?

Mit – opowieść o bóstwach i istotach nad-
przyrodzonych, przekazywana przez daną
społeczność, zawierająca w sobie wyjaśnienie
sensu świata i ludzi w ich doświadczeniach
zbiorowych oraz indywidualnych lub wywo-
dzące się z tradycji ustnej ponadczasowe, ano-
nimowe opowiadanie o postaciach... Wikiped-
ia.

Jak zatem owe mity spełniać u siebie czy
gdziekolwiek, skoro przedstawiają to, co już
było? Nie Ameryka zawiniła, że mamy takie
położenie geopolityczne, jakie mamy. A jest
ono fatalne na czas wojny! I korzystne w la-
tach pokoju. To naszym krótkowzrocznym
władcom zawdzięczamy, że nie poszli w wie-
kach średnich pod Ural, widząc, co się święci.
Raczej nie widząc. Za Wazów Rosja sama od-
dawała tron carski w ręce Władysława, póź-
niej Władysława IV, króla Polski. Jeśli nie
Ameryka, to kto? Europa? Niemcy? Ile wojen i
zdrad trzeba, żeby otrzeźwieć? Rosja? Kosz-
mar. Tam zawsze się znajdzie jakiś Stalin lub
Putin, który będzie chciał rządzić Polskę po
swojemu. Metodą ludobójstw. Pytanie na

(Dokończenie na stronie 24)

Mniej Więcej (190)



Foto: Zofia Mikula

Wiersze „wsobne”

Z autorem tym spotkałem się w lekturze dopiero teraz, a okazuje się, że jego dorobek jest pokaźny i ważny. Pozwólcie, że na początek przytoczę co nieco o nim.

„Robert Gawłowski – urodził się w 1957 roku. Absolwent wrocławskiej polonistyki. Poeta, prozaik, krytyk literacki, dramaturg, scenarzysta, autor audycji i słuchowisk radiowych (...) Debiutował jako poeta w roku 1977”.

Leszek Żuliński

Nie starczyłoby mi tu miejsca, bym wszystko o nim napisał, więc „napomknę” tylko, że w dotychczasowym dorobku ma siedem tomików wierszy. Napisał także sztukę teatralną i zbiór opowiadań. Poza tym jest autorem recenzji, szkiców i esejów. Także członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich... Kilka spraw jeszcze tu opuściłem, bo zabrakłoby mi miejsca na recenzję.

A więc przejdźmy do najnowszego zbioru wierszy Gawłowskiego pt. *Dotknięcie*.

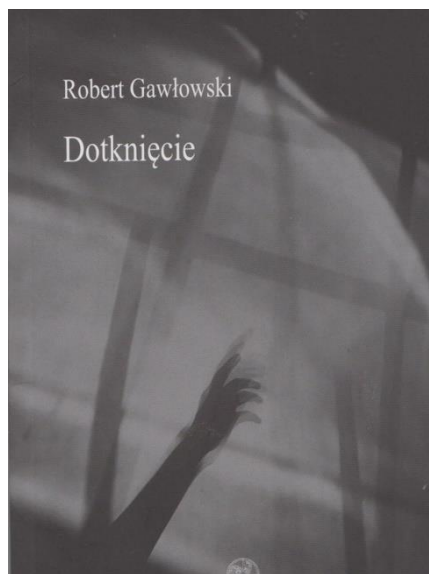
Zacznę od wiersza pt. *Boskie*, który otwiera ten tomik. Oto on: *iskrzyło gwiazdami pośród ciemności, / kładło się światem na polach i lasach, / znaczyło horyzont, toczyło obłoki. // Błyskało w oczach dzieci i w każdym / uśmiechu, w psiej i kociej sierści / w zapachu ogrodów, w zgiełku dnia. // Skrywało się w sumieniu i pod liściem, / schodziło z dachów / zaglądało do okien, / głodne kwiliło w deszczu pod okapem. / A widzieli je zwykle ci, którzy ból / otwierał oczy i dusze, bo w nich miało / najlepszy dom i najlepsze schronienie.*

Po tej pierwszej lekturze skonstatowałem, że będą to wiersze nieszablonowe. I nie pomyliłem się. Gawłowski pisze „nieegotycznie”; zapewne wyciąga to wszystko z własnej aury i zdarzeń, „cegła za cegłą”, ale interior sensów jest tu uniwersalny.

Zanim jednak przejdę do wierszy to kilka słów o Autorze. Czytam fragmenty tego, co napisał o sobie. A więc rocznik 1957, *prozaik, krytyk literacki, dramaturg, scenarzysta, autor audycji i słuchowisk radiowych, w przeszłości związany z Polskim Radiem we Wrocławiu*. Opublikował siedem tomów wierszy. Ma także w dorobku premierę teatralną, zbiór opowiadań, jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Miał także sukcesy za granicą.

To, co powyżej wymieniłem jest w sporym skrócie, bowiem nie starczyłoby mi miejsca na szczegółowe „afirmowanie” Autora. Wystarczy powiedzieć, że ma spory dorobek i paletę tekstów.

A teraz przejdźmy dalej do wierszy. Oto wiersz pt. *Pomyleni*: *Kryli się w grotach, szczelinach, jamach. / Chcieli oddzielić Światło od Ciemności. / Nie poważali materii, a jedynie Ducha. / Twierdzili, że pili wprost ze Źródła i zobaczyli / całe Jestestwo, a jedyną drogą do Niego jest Czyste poznanie. Niektórzy widzieli / dusze szczęśliwe, dusze cierpiące i dusze / gorejące. Rozmawiali z aniołami i przynosili / cudowne niebiańskie wieści, niepodobne / do tego, co zostało Powiedziane. Upierali się, / że tylko oni, i tylko ich słowa, mogą Zobaczyć. / Na mękach wyznawali, że czynili to z Miłości, / a mowy używali, by nazywać prawdziwie, // bo już u zarania wszystko zostało pomyłone.*



Osobliwy to wiersz, przyznacie. Gawłowski nie chodzi po konkretach. Raczej po owym „jestestwie”. Żaden reizm go nie nosi.

Te wiersze wchodzą w głąb ludzkich tajemnic – niezwykle „wsobnych”. Czy myślicie kiedykolwiek o tak wewnętrznym interiorze ludzkim?

To jest głębokie dno naszych rozmyślań. Takiego interioru nie czytałem dotychczas w żadnym z wierszy.

Bardzo poruszył mnie wiersz pt. *Ruina*. Przeczytajcie: *Czekali uczciwego rachunku sumienia, / i dostali obłudę. // Namaszczone słowa hierarchów wciąż / zacierały prawdę. // Święta niegdyś eklezja zamieniła się / w*

ruinę // Puste mury, bez Boga, bez pasterzy, / bez trzody.

No cóż... Przeczytałem tomik, jakiego dotychczas nie czytałem. Ta „esencja” nie da się do żadnej innej porównać. I to jest wielki sukces tego tomu.

Robert Gawłowski, *Dotknięcie*. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2020, s. 56.

Robert Gawłowski

Podszepty

Podcienia szeptały: nie odchodź, zostań. Przemierzyłeś już tyle krain. Porywały cię nurty rzek, zwodziły morza nadziei. A twoja wędrówka, i tak, prowadzi do kresu. Zostań. Zaśnij i nie śnij. Stań się ciemnością. Uspokój to przestraszone zwierzę, którym byłeś, jesteś i będziesz. Ugłaskaj nicość, przenicuj myśli. Nie wypatruj już nikogo i niczego.

Który

Który wraca nadzieję, jest nieustannie „w”, „pośród”, „dookoła”, „ponad” i „pod” językami”.

Który wraca nadzieję, jest wielością wielu wielości, jednią tego, co nigdy nie było oddzielone.

Który wraca nadzieję, jest tym samym, co przeprasza i prosi, zaklina i błaga, płacze i uśmiecha się.

Który wraca nadzieję, jest milczeniem, ciało jego z ciszy i pustki, nie ima się zaimków i nazw.



Henryk Makowski

Dźwigam na grzbiecie

Właściwie jedynym argumentem
naszej wiary jest pacierz
im prostszy zwyczajny
tym skuteczniejszy
warty powtarzania
najlepszy w samotności
najwięcej przy nim aniołów.
Aniołowie lubią ciszę i oddalenie
ich obecność jest wyraźnie wyczuwalna
po delikatnym podmuchu
od wachlowania skrzydłami
po sile podmuchu znać
że jest ich gromada.
Gdyby ktoś chciał
można to uznać za indywidualny
dowód istnienia.
Warto dźwigać na grzbiecie
brzemień wiary
nie ugniata a prościej się chodzi.

Nie jestem patriotą

Pustego pokaleczonego słowa
ulicznego i ambonałnego.
Tylko do mnie Polska przyłgnęła
mocą munduru krzywd doznanych,
zawsze była i jest moją
nadwiślańską słowiańską,
niezbędna domową ojczyzną.
Wz bogaca mojego ducha.
Jest neutralna, poza pokusami
szarpia ją jadowicie
zagarniają jej znamiona.
Sowizdrzały swojej pychy.

wiesz komu śpiewam

jesteś śpiewaniem
w kolorach dnia
jesteś stąpaniem bezszelestnym
przykryta uśmiechem utajonym
radością wypowiedaną
podarowaną dla ozdoby
przezroczysta jesteś dobrocią
zwyczajna uśmiechem
zaprawdę wiem jaka jesteś

Potrzebny jestem

Ślimakom na początku lipca by zbierać je
z piaszczystej drogi
grzywaczom jaskółkom szpakom na drutach
przykucniętym
w deszczu by rozweselić je rozmową
lipom kwitnącym by zapylić je wdychaniem
miodowej woni
dżdżownicom by po deszczach wiosennych
przenosić je
w głęb liściastej trawy
słońcu by powitać je rankiem mozolnie na
skraju nieba się

wdrapujące
zmierzch powitać i pożegnać rychło
radością i przytulaniem drzewa obdarzać
by podskoczyć i kopciuszka zadziwić
przyjaciół wcześniej odeszłych pamięcią
przywoływać
by być zaledwie całością gwiazd dalekich

Adam Ryszard Prokop

* * *

w świecie
który pozostanie obcy i wrogi

w układach
które opłotą lub zniszczą

w zadaniach
których zrozumieć do końca nie można

w osobach
których nawet lustro nie poznaje

w ubraniach
które nie były szyte na nikogo

w dłoniach
twarz bez opcji personalizacji

szarość dnia codziennego

idąc przez ulicę
kolejna zebra
została przejechana
przez pędzące auta

zółw bez chwili wytchnienia
naciąga łuk
by trafić Achillesa w piętę

tysiące ludzi
jak mrówki spółkują
z ograniczoną pożytecznością

a ja
jak zwykle
spotkałem śmierć
w supermarkecie

po-jednanie

będą wiecznie mówić
do tego wracać
przekonywać
że nie powinno było
że nie tak

chrześcijańskie przebaczenie
wykoleją do traktatu o moralności
współczucie zaszczują pokutą
miłość zgwałci poczucie obowiązku

bo człowiek
dojrzały stateczny i oswojony
nie szuka drogi
nie stawia pytań
tylko słucha
się zmienia
umiera

tylko bóg
który nie dał się im nawrócić
rozpostrze przed nim swe ramiona
przytuli i pogłaszcze
choć już będzie za późno

resocjalizacja

wszystko zaczęło się około piątej
lecz nie było zaćmienia
żadnych rozdartych kurtyn
tylko paru łotrów
oszukujących jak życie się dało
bez kary za winy
bez winy za karę

uśmiechy szybowwały wzgórza czaszki
tym razem jeszcze nie sępie
lecz następnym

gama jaśnień

graj na skrzypcach
graj na ogniu

nuta niech wybrzmi
nuta niech płonie

ciało to kamerton
dusza to termometr

jeszcze jeden takt
jeszcze nieco drwa

natrudzą się struny
natrudzą się iskry

ten ton
ten blask

już czas
już czas

ręce

ręce mi się trzęsą
od zawsze
odkąd pamiętam
czasem są umazane musztardą
mają obgryzione opuszki
zimą skryte w rękawiczkach
nienawidzą techniki
ale znają sztukę
gdzie jeden dotyk wystarczy
by zaćmić niebo człowiekiem
tu i teraz
roztrzęsione

■

Magdalena Kapuścińska

Mój ty Boże

Nagłym ruchem pióra
zamykasz rozkosz
w więzieniu mojego ciała

Sekretnym tuszem
wypływa z ciebie całe pożądanie

Na ścianach łona
odkrywasz ukryte litery
w alfabecie miłości

Posiadłeś moc
pisanie we mnie
mój ty boże

Inspiria

Wcisnąłeś mi w dłoń
nabitą broń
pozwoliłeś chwycić za pióro

Wbiłam je w siebie
z namaszczeniem
nakreśliłam pierwszą literę
twojego imienia

Powiedz mi teraz
które z nas
jest stwórcą
słowa
które we mnie dojrzewa?

A więc tu jestem

Jestem widokiem, myślą i słowem
wciąż płynącymi przez twoją głowę
szybkością rwącej fali.

Jestem euforią o którą prosisz
zagubiony w detalach rozkoszy
na cacy, na amen.

Jestem niezwykle barwnym obrazem,
który poprawia nastrój – okazem
nieskatalogowanym.

Jestem poezją, piękna szelestem
i szmerem serca. A więc tu jestem
i chyba zostaną.

Kolejny list

Piszę kolejny list, którego nie wyślę, bo adresu
nie znam. Znajduję Ciebie jedynie w snach.
Dobrze, chociaż, że wiem gdzie Cię szukać. Pi-
szę te listy, mam nadzieję, że wyjdę z tego z
twarzą, a przynajmniej z książką. Wtedy będę

mogła odszukać Ciebie, nawet za dnia, w spi-
sie moich marzeń.

List po-ranny

Najdroższy
Świt bezczelnie wdiera się
do okien mojej duszy
Zostałam zmuszona podnieść rękawicę
i boksować się z życiem

Wolę mierzyć się z nocą
bowiem najbardziej lubię śnić
Mogę wtedy wyjść poza siebie
i zwyczajnie stanąć przy Tobie

Nie podnoś jeszcze powiek
Przymknij oko na dzień
Dośpijmy
dośnijmy
dokochajmy

Zaśnijmy w sobie
i niech nikt nie odważy się
zbudzić nas z tej miłości

Jerzy Benjamin Zimny

Wódka i prawda

I po co to wszystko skoro śmierć jest pewna.
Maski zawsze nosiliśmy na każdą okazję.
Nikt nie odmierzał odległości kiedy kochał.
Życie zawsze ma treści strawne i niestrawne.

I jest w nim śmierć na początku i na końcu.
I są w nim kwiaty jubileuszowe i cmentarne.
I jest poezja faktu i defektu są słowa ostatnie.
Tchórzliwe i odważne, jest wódka i prawda.

Jutro coś zapłonie i zgaśnie, ktoś odejdzie,
pojawia się jak tęcza po deszczu, zdejmujemy
płaszcz ochronny, każdy uśmiech będzie bez
łezki, nawet poezja zrozumie że jest coś
większe.

19.05.2020

Nie ma końca

To jest ten moment, ostatnia szansa której
nie wolno zmarnować, bo drugiej nie będzie.

Nic dwa razy się nie powtarza nawet śmierć.
Wychodzisz z domu jakbyś skądś wracał.
Ze snu, może z bajki, która się kończy na ulicy,
gdzie jeszcze nie wystygły zabawy w berka,
gdzie odrapane mury nadal coś krzyczą.

Ten moment zawahania będzie decydujący.

Zatrzymany w ruchu z grymasem na twarzy
skamieniały, wpatrzony w martwy punkt,
z rachunkiem za życie w zamkniętej żrenicy.

ósmego dnia lutego 2020

Bierz mowa nie

Kiedy umarł ostatni z żyjących kolegów
zrozumiałem, że już więcej nie będę płakał.

Czas jest teraz pusty a otoczenie przypomina
wydmuszkę. Ludzie na ulicy są w innej bajce.

Obserwuję ich zachowanie przez stare serce.
Badam puls ulicy stopami, które dawały
chleb

poznańskim szewcom. I nosiły mnie do
dziewcząt.
Próbuję sobie przypomnieć pierwszą z nich,

na próżno. Dzisiaj gdy kończy się druga
dekada
nowego stulecia, pragnę napisać wiersz o
słońcu

którego obręcz toczył po bruku mały
chłopiec.
I swoją pieśń, niósł jak niemowlę, do ludzi.

Wiersz ostatni

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu
a do poezji tylko jedna, piaszczysta.

Schody hiszpańskie, schody odesskie.
Nie ma drabiny do nieba więc jestem

jak ten himalaista. Nie mów mi po co to
wszystko, bo nic jeszcze wielkiego

za mną; tylko pagórki i uroczyska, jakieś
miłości w nieckach, pomyłki oczywiste.

Wszystkie drogi prowadzą do skończoności.
Ale tylko jedna nieskończoność jest długa.

Droga o którą pyta ludzkość od wieków bez
względu na czas i położenie słońca.

Styczeń, 2020

Do zobaczenia

Odchodzę od zmysłów do ciebie,
która jesteś na psychotropach
i czekasz na pierwszą gwiazdkę w oknie,
które jest jak judasz Iskarioty.

Odchodzę w pidżamie aby sen
nie musiał mnie rozbierać z wierszy,
z marzeń jak skorupka zgnitego jajka.

Odchodzę szukać aby nie znaleźć.
I to jest ta sztuka wiązania krawata.

Jerzy Stasiewicz

Przypomnienia Pawlickiego

Stary krak na Toborowej topoli rozprawiał
o przyszłości.
Dzieciaki ciskały kamieniami w zwiastuna prawdy.
Był wytrwały.
Odleciał dopiero wtedy kiedy zakończył balladę
o nadchodzącej nocy.
A była to noc Świętojańska.
Zabudowania za rzeką trawił ogień.

Z tomu *Zapach mojej ziemi* J. Stasiewicza

Przypomnienia 10 esejów & szkiców otrzymałem od **Dariusza Pawlickiego** w listopadzie 2019 roku w Polanicy Zdroju. Byliśmy uczestnikami Międzynarodowego Festiwalu Poezji „Poeci bez granic” im. Andrzeja Bartyńskiego, organizowanego przez Oddział Związku Literatów Polskich.

Mam taki dziwny odruch, w pierwszej kolejności zaglądam do biogramu autora, mimo że znam go od lat. Pawlicki urodzony w 1961 roku, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego (Bibliotekarstwo i Informacja Naukowa); eseista (trzy zbiory: *Chwile Miejsca Na stroje, Zauważenia, Fragmentaria*), poeta (kilka tomików, m.in. *Haiku, 48 wierszy*), autor książki dla dzieci (*Bibikin w drodze do Kamienia Życia*). Teksty publikował i publikuje: w „Borussii”, „Krytyce Literackiej”, „Pisarzach.pl”, „Poezji dzisiaj”, „Twórczości”, „Gazecie Kulturalnej”, „Akancie”. Prowadzi warsztaty literackie, wygłasza prelekcje dotyczące kultury. Niezwykle mobilny i sumienny co do terminów spotkań z czytelnikami i słuchaczami. Gdzie nie dowiedzie go pociąg, autobus, tramwaj, rusza piechotą, a jego uwadze nie umknie żadna budowla, most, tunel, nasyp, wieża, drzewo, mozaika z bruku, kształt kobiecego ciała – wszak poeta wyczulony jest na piękno.

Doświadczylem tej jego ciekawości w 2017 roku kiedy przybył do Nysy na moją „Bittwę w tle”. Odbierając Darka z dworca widziałem w oczach tą jego zachłanność zobaczenia wszystkiego w nowym miejscu. Wszak w Śląskim Rzymie był nowicjuszem, ale wiele o nim czytał, a wiedza ta nie była powierzchowna. Ruszyliśmy ulicą Wrocławską. Bardzo zwracał uwagę na detale i napisy „Pięknej Studni”. Znał wiersz Tadeusza Różewicza o katedrze. Szkoda, że nie było mu dane zobaczyć zawartości skarbcza w dzwonnicy, ale kolejki zwiedzających związane jarmarkiem Jakubowym wymagały czasu. Słychać było już salwy armatnie. Obsługa dział przygotowywała się do ostrzału nadciągających wojsk napoleońskich. Zahaczyliśmy o Plac Solny, Darek obfotografował Carolinam, kościół Wniebowzięcia. Zauważył, że główne wejście do świątyni to gotowa scena letnia dla teatru. Nie mógł się nadziwić wysokości wody zalewającej Nysę w czasie straszliwych powodzi. Zaznaczonych z datami na murze dworu biskupiego. Długo podziwiał pałac biskupi, obecnie muzeum. Zaczepnieliśmy wytychnienia na jego dziedzińcu,

gasząc pragnienie złocistym napojem bogów. Obmyliśmy twarze w chłodnej wodzie fontanny Trytona, zastanawiając się dlaczego delfiny mają łuski? Darek nie byłby sobą gdyby na chwilę nie wstąpił do czytelni Domu Wagi Miejskiej, poczuć zapach ksiąg i starych murów. Wieżę Ziębicką obszedł dookoła. Słowiański rytuał wędrówki wzdłuż murów obronnych niezdobytego, średniowiecznego miasta, wyznaczając dłonią święte strony świata. Z mostu Kościuszki długo obserwował pracownię prof. Mariana Molendy, wsłuchując się w szum płynącej rzeki. Z grobem w kształcie otwartej książki spotkał się po raz pierwszy, acz twórczość Josepha von Eichendorffa była mu znana – wymienił kilka utworów. Altanę niemieckiego romantyka odłożyliśmy na termin późniejszy.

Ostrzał armatni i z muszkietów z obu nacierających stron był tak intensywny, że pole bitewne ginęło w gęstej mgłę. Słychać było jedynie komendy i jęki rannych. Czasem pisk markietanki. Pytał o szczegóły umundurowania, broni ręcznej, armat, wyposażenia taborów i przedmiotów codziennego użytku w obozowisku. Nie umknęły uwadze Darka, buty na nogach żołnierzy z niemalże całej Europy. To obuwie robocze stosowane w zakładach pracy. Wy tłumaczył rzeczowo stary wiarus: - obstalunek u szewca to poważny wydatek dla szarego piechura, fason ten jest bardzo bliski oryginału. – Widząc co nie dajemy wiary polał po antałku mocnej śliwowicy dobrej dla gardła i odkażania ran. Sam był w lipowych chodakach.

Prelekcję w Stasiewiczówce rozpoczął od zaprezentowania glos:

XV

Cytaty z ogłoszeń, anonсів, tytułów prasowych: „Literatura kobieca”, „Powieść kobieca”, „Malarstwo kobiet”, „Kobieca twórczość”, „Kobiety film”... Nigdy nie myślałem, że sztuka, literatura, film, to znaczy, ogólnie, kultura ma płęć. I nadal tak nie myślę.

XXXIII

Wiersz nie powinien zawierać, moim zdaniem, większej ilości słów, niż zawierałaby ich, ewentualna, odpowiedź udzielona na pytanie: o czym jest (konkretny) wiersz? Utwór poetycki spełniający to kryterium byłby ideałem. Ale ten podobno... nie istnieje.

Glosa XXXIII rozgrzała dyskusję do czerwoności. Wielu obecnych poetów na spotkaniu w altanie przy kominku nie podzielała Darkowego wzorca idealnego. Argumentując,

że wiersz jest z natchnienia Boga – pierwszy wers – reszta rodzi się w umyśle autora. I jak głębokie są przemyślenia piszącego, tak długi jest zapis.

Pytany o własny sposób tworzenia i zestaw lektur ujął to tak: – *Stosuję jakby trójpółkę: pierwotny zapis w brudnopisie. Tak leży kilkanaście tekstów. Następna teczka to cyzelatornia – teksty nad którymi pracuję, sięgając do słowników, materiałów źródłowych, encyklopedii, uzupełniając przypisami. Dopisuję fragmenty, które teraz uruchomiła moja podświadomość – wróciły z zakamarków niepamięci. Dokonuję skreśleń dłuższymi nie wnoszącymi nic do omawianego tematu. Trzecia – utwory gotowe przeznaczone do publikacji. Nigdy nie spieszę się z rozsyłaniem po redakcjach. Muszą odleżeć swoje, urosnąć jak ciasto, doleżakować. Czasem w ostatniej chwili na „gotowcach” dokonuję jeszcze poprawek. Wydaje mi się, że proces tworzenia jest otwarty, płynny. Ale to moje podejście warsztatowe, nawyk. Jestem nałogowym czytelnikiem: dzienników, listów, biografii. Beletrystyki od lat w ogóle nie dotykam. Z wieloma pisarzami koresponduję listownie. Stara tradycja epistolografii – zamarła na naszych oczach: sms, e-mail – przeze mnie jest uprawiana z estymą. Nad każdym pisanym listem pochylałem się jednakowo głęboko. Staram się na pytania adresata odpowiadać szczerze i zgodnie z posiadaną wiedzą. Nie ukrywam żalów i brudnej prawdy. Bo list jak i prowadzony przeze mnie dziennik jest szczerym, wewnętrznym, zapisem dnia dzisiejszego. Jutro jest już historią. Z której może będą korzystać historycy literatury, biografowie, studenci filologii.*

Na tle pochmurnego, burzowego widnokręgu stare, ogromne, rozłożyste drzewo, szarpane silnymi podmuchami wiatru. Możliwe, że to dąb – kiedyś czczone jako święte drzewo boga piorunów – pod najstarszym dziś w Polsce dębem Bartkiem Kazimierz Wielki sprawował sądy. Gdy olbrzymi, prastary dąb, w dąbrowie, położonej w widłach Dubissy i Ejni jesienią tracił liście, Żmudzini szeptali: „Dewajtis opłakuje stare czasy”. Nie bez powodu autor umieścił go na okładce swojej książki. Drzewa są związane mocno z jego życiem. Najmocniej jednak z dzieciństwem spędzanym w czasie wakacji, ferii zimowych na wsi u dziadków na Suwalszczyźnie. Rzekłbym: „Pawlicki jak Dewajtis opłakuje stare czasy”. Dobitnie opisuje to w eseju: „Drzewa, o których pamiętam” w tomie: *Zauważenia*. Kontynuuje w szkicach: „O drwach i ogniu” i „Przed wszystkim o starych gruszach”. W pierwszym sięga sacrum: „Popiołu po spalonym drewnie pozostawało niewiele. Wystarczyło wybrać go z popielnika kilka razy w miesiącu (w okresie intensywnego

palenia). Zimą posypywało się nim ścieżki wydeptane w śniegu i wszelkie miejsca oblodzone. Chłopska gospodarność, przezorność i szacunek dla daru Boga, służącego człowiekowi w zamkniętym kole egzystencji. Od narodzin po śmierć.

Patrzę na zdjęcie Dariusza Pawlickiego umieszczone na skrzydełku okładki, a wykonane przez Ilonę Pawlicką, żonę pisarza. Zastanawiam się skąd w tym poważnym człowieku – fizjonomia myśliciela – odzianym w długi płaszcz i kapelusz – tak głębokie ukorzenie w ziemi przodków. I nasuwa mi się porzekadło „tam dom nasz, gdzie korzenie nasze”. Ale żeby to poczuć trzeba przebyć daleką drogę, wędrowkę za nauką, chlebem, miłością... Przykładem jest prof. Andrzej Strumiłło mieszkający niedaleko dziadków Pawlickiego w Maćkowej Rudzie. Po zabieganym życiu wykładowcy, artyści i dyrektora w różnych częściach globu, osiadł niedaleko ukochanej Litwy. Budując przystań dla artystów i hodowlę umiłowanych koni arabskich. Profesor często gościł w drewnianej chacie Dariusza. Snując opowieści o przemijaniu – że tak wiele chciałby jeszcze stworzyć! Kamienny Krąg w podwórzu nasycił przybysza dobrą energią, pozwalając piórem władać swobodnie bez zgrzytów i zacięć, jak lemiusz dziadkowego pługa. Odkładającego skibę za skibą, czarnej, tłustej ziemi. Z lejcamy zawieszonymi na szyi oracza. Pawlicki często trzymał te lejce i bat, poganiając deresza do szybszego marszu. Koń jednak człapał, człapał, kopyto za kopytem, podążał swoim rytmem... Bruzdą spacerowały wrony, wydriobując robaki. W oddali widać było rząd topoli. Rankiem przejeżdżała cysterna z mlekiem, potem autobus – „ogórek” – i od czasu do czasu osobówki, w większości na państwowych rejestracjach. Autobus o dwunastej określał porę dnia. Krowy zganiały do zagrod, pojono, dojono na południe. Zaprzęgi zjeżdżały z pół. Koń – atrybut siły i dobrobytu – mógł skosztować obroku i odpocząć w przewiewnej stajni, jak i gospodarz w zaciszu domu na murku kuchennego pieca, który Pawlicki opisuje niemalże z metafizycznym uniesieniem: – *Krąg domostwa staje się utracynym Jeruzalem, widzianym we wspomnieniach coraz wyraźniej z biegiem mijających lat.* Tu święte ręce babci Pawlickiego krzątającej się przy stolnicy, garnkach, piecu śmiejącym się uczciwością płomienia. Sapaniem ogromnego emaliowanego czajnika z wygiętym dziubkiem jak litera „s”.

Na własny użytek twórczego zamyślenia, sięgnąłbym nawet głębiej zamyślenia mitycznego – wyodrębnił porę dnia przedzmierzch. A ów trwa od zachodu słońca, to znaczy od momentu, w którym słońce chowa się za horyzontem, do zapadnięcia ciemności. Przedzmierzch poprzedza zmierzch, tak jak np. przedświt zapowiada świt, a przedwiośnie – nadejście wiosny. Z tym, że o ile przedświt, to są minuty, a przedwiośnie może trwać tygodnie, to wspomniana schyłkowa pora dnia – kwadrans.

Ukazuje przebogatą różnorodność: przyrody – sternika naszego życia, kultu chłopskiej pracy, jego silnego przywiązania do ziemi żywicielki, obyczaju świąt z jego

ludowością, obrzędowością i tradycją. Głębokiej więzi rodzinnej i sąsiedzkiej – mimo że konflikty były na porządku dziennym. A nawet sił nadprzyrodzonych czy nieczystych. Bo na wsi dawniej w wielu miejscach straszyło. Zwłaszcza tam, gdzie urzędowały znachorki, odcinano wisielców, bagna wyziewały gazy (latem języki płomieni). Z ogromnej tarczy słońca z jej wyglądu i „płynności” przewidywano pogodę na dzień następny z niebywałą precyzją. To odczytywali ludzie doświadczeni życiowo i dziadek Pawlickiego, z sądami którego bardzo się liczone.

Ważnym elementem rozważań eseisty są drogi. Zwłaszcza te polne gościńce, zarastające wszelakim zielskiem, zapomniane bądź popadające w zapomnienie. A przecież kiedyś nimi ciągnęły karety królewskie, dyliżanse pełne podróżnych, chłopskie furmanki zaprzężone najpierw w woły, potem w konie. Wyładowane zbożem, sianem, ziemniakami. Drewnem na budowę domostw i zagrod, na opał, kamieniem z okolicznych wyrobisk. Z trwałego materiału powstawały zajazdy i karczmy podróżne. Otoczakami utwardzano podwórze i dziedzińce, place przy kościołach i plebaniach. Szli tymi drogami – przywróconymi do życia w wyobraźni pisarza – wędrowcy i pątnicy do miejsc świętych, oczekując cudu i oczyszczenia. Przysiadali na przydrożnych głązach, pniakach, rowach, kontemplując otoczenie, odmawiając modlitwy, śpiewając kościelne pieśni. I tymi drogami ruszali ludzie w świat, wypędzeni z wiosek, dworów i przysiółków. Na wojnę i katorgę, skąd wracali niewielu, starych, schorowanych, zapomnianych przez sąsiadów, rodziny w kolejnym pokoleniu. Tylko czasem łzy matek przypominały dawne historie. A katorżnik, stary wiarus opowiadał, gdzie leżą kości dziadów, ojców, wujów. Gdzie jest wielka woda, gorący piach, nieprzebyty las i ciągła zmarzlina. Widać w zbożu kapliczkę – ktoś zapalił w niej świeczkę – przy drzewie krzyż pokutny. W innym miejscu rzędy drzew, gdzieś indziej półka porosła gęstym krzewem oddziela pola orne. A ten mały, okrągły zagajnik, to rozwidlenie.

Sięgnijmy po książki Dariusza Pawlickiego – jest w nich na wyciągnięcie ręki to, czego szukamy daleko, często sówicie płacąc.

Głęboko wrył się w moją podświadomość szkic: „O drwach i ogniu”. Autor opisuje swoje uwielbienie patrzenia na ogień, ten nasz domowy ogień oswojony, który trawi drwa w kominku, piecu kuchennym. Kiedy jego luna roztacza się na sufit, figluje po jego powierzchni. W wielu stronach jest takie określenie „piec się śmieje” – dotyczy to tzw. „kóz” ustawianych w pokojach gościnnych w celu dogrzania sypialni, bądź innego pomieszczenia wymagającego więcej ciepła, zwłaszcza zimą. Staje przed naszymi oczami piec chlebowy z jego głęboką komorą, opalany dębina, grabiną, babcią na kłęczkach podsypująca szamotowe palenisko mąką, wkładająca na długiej, drewnianej łopacie, także posypanej mąką, w jego gardziel wyrośnięte buły ciasta. Ja lubiłem patrzeć na ogień w palenisku kuźni ojca – takich kuźni było wiele przy zapomnianych drogach. Na iskry metalowego żaru z

podków, siekier, lemiuszy, skaczące jak świetliki w noc świętojańską. Dawna tajemnica uplastycznienia metalu, przekazywana przez mistrzów z pokolenia na pokolenie.

Pawlicki przywołuje postać Prometeusza, który wykrada ogień bogom i uczy ludzi posługiwać się nim. Dosięga go za to gniew Zeusa, a za karę przykuty zostaje do zbocza jednego ze szczytów Kaukazu. Codziennie orzeł wrywa wątrobę z jego ciała. Ta każdorazowo odrasta. Od męki uwalnia Prometeusza Herakles zabijając orła. Wszystko jednak ma swoją cenę. Za posiadanie ognia ludzie zostają ukarani puszką Pandory – jej zawartością – czyli wszystkimi nieszczęściami. Ogień to drwa, pokarm płomieni. Przygotowanie zapasów odbywało się przeważnie zimą przy wyrębie lasu. Dorodne modrzewie, sosny, świerki szły na więzby dachowe, podłogi, drzwi, okna. Dęby na krzesła, stoły, szafy, kredensy. Gorsze okazy tzw. „podsusz” przeznaczano na opał. Ale były wyręby typowo opałowe. Chłopi sami ścinali drzewa ocechowane przez leśniczego i układali w „metrowki” – metry ścieżkowe. Robota w lesie to jakby zimowe żniwa. Uczestniczyła w niej cała wieś. W ogromnych ogniskach palono zbędne gałęzie, Zgadzałem się z Pawlickim, że ten ogień kojarzy się z tymczasowością, bo jego zadaniem jest oczyszczanie terenu. Ale na tych ogniskach pieczono mięso, suszono ubrania, ogrzewano zmarznięte dłonie. Dawał światło pracującym po zmroku, chronił przed dziką zwierzyną. Był ogniskiem domowym poza domem. Ostoją. Drwa na opał to także porządkowanie sadów. Wycinka starych grusz, jabłoni, śliw, zmęczonych latami owocowania. Umierających na oczach gospodarza. Służących do końca jako paliwo pieca, duch ciepła i bezpieczeństwa, a obecny w naszym życiu zawsze choć niezauważalnie. Niezauważalne jest dla wielu z nas otoczenie, zwłaszcza to, w którym żyjemy. Trudno jest znaleźć wolną chwilę, usiąść na przypadkowym kamieniu, jakich wiele. I zastanowić się skąd ów głąz tutaj się wziął. Chłopskie zabobony (filozofia) mówią o diable przenoszącym ogromne głazy, zaznaczającym teren objęty czarowską mocą; miejsca pożarów, w których całe rodziny spłonęły żywcem, topielców, samobójców niespełnionej miłości. A jaka jest prawda? Dariusz Pawlicki mówi: „Bez żadnej przesady mogę stwierdzić, że pod sobą mam Skandynawię. I to pomimo tego, że równocześnie dzielę mnie od niej setki kilometrów”. Głazy przeniósł lodowiec, a czas starannie je wygładził.

Widoczność naszą ogranicza mgła, którą opisuje w kolejnym eseju. Z tym, że zachwyca się jej niebieskością. Widokiem, chwilowym zauroczeniem. Owa mgła unosi się nad jeziorem, którego brzegi z trzech stron okala las. Podskórnie czuję obecność Świtezianki. I dużą romantykę – bo Pawlicki jest nim w każdym calu życia i twórczości – głęboko ukorzonego w filozofii, mitach greckich, rzymskich. Ale i tradycje Słowian, Bałtów nie są mu obce. Mgła w tekstach literackich zawsze zwiastuje coś tajemniczego, skrywającego, uosabia tajemniczość. Co może sprawić mgła mówi Haiku autorstwa Issy:

(Dokończenie na stronie 19)

Dariusz Pawlicki

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem

Ginie się albo co najmniej nijakże bez miłości do miejsc zakreślonych wąskim rzekomo horyzontem...

Gustaw Herling-Grudziński,
Dziennik pisany nocą

Od pewnego czasu chodził mi po głowie pomysł, aby pokonać pieszo pewną trasę. Nie była to jednak jakaś obsesja. Ot, zamierzenie czekające spokojnie na realizację.

Droga, o której wspominam znajduje się w zakątku, który znam bardzo dobrze. Nigdy nią jednak nie jechałem, ani nie szedłem. Tak jakoś się złożyło. Była mi jednak znana z opowieści. Wiązały się z nią pewne wspomnienia rodzinne, dotyczące przede wszystkim odległych czasów. Przebiegowi tej drogi wielokrotnie przyglądałem się na planach i mapach. I niewiele mniej razy pokonywałem ją w myślach. Z tym, że wyobrażałem sobie, że czynię to wiosną, latem, w pełni jesieni; ale nie zimą. Nigdy też nie byłem obarczony, oczywiście wyimaginowanym, większym bagażem.

Kiedy wysiadłem z autobusu na przystanku w Krasnopolu, tylko trzy dni dzieliły mnie od Wigilii Bożego Narodzenia. Były 2-3 stopnie poniżej zera. Z zachmurzonego nieba śnieg jednak nie padał. Ziemia była nim zresztą tylko trochę przyprószona. Ale najistotniejsze było to, że miałem ze sobą dwie torby naramienne. Z tym, że o ile jedna zaskłgiwała w pełni na miano lekkiej, to druga była, niestety, wagi średniej.

Odtwarzając teraz na papierze tamten grudniowy dzień, widzę, jak przechodzę wzdłuż frontonu kościoła. Pomyślałem wówczas, że w 1909 r. został w nim ochrzczony mój Dziadek Ignacy Herbst. Ale nie tylko on, jeśli chodzi o moich przodków. A teraz, gdy piszę te słowa, wspominam o nich, choć nie znam bądź już nie pamiętam ich imion i nazwisk. Czynię to także dlatego, że oni... żyją dopóty, dopóki pisze się, myśli, mówi o nich. Opuścili nasz świat, świat żywych, ale wiodą życie im właściwe...

Drogowskaz, na którym było napisane: Żłobin, upewnił mnie, co do właściwie obranego kierunku. Stosunkowo wąską drogą asfaltową ruszyłem w kierunku południowym. Przeszedłem wzdłuż muru z kamieni otaczającego cmentarz parafialny. A po przejściu jeszcze kilkudziesięciu metrów ujrzałem w znacznej odległości, usytuowany pośród pól, stary cmentarz. On także był obwiedziony kamiennym murem. Coś przecież trzeba było zrobić z kamieniami polnymi ustawicznie znajdowanymi na polach. Gdy tymczasem prawie wszystkie budynki i ogrodzenia je otaczające, wznoszono z drewna. Choć faktem jest, że w Krasnopolu, który od 1782 do, bodajże, 1852 roku posiadał prawa miejskie,

niektóre fragmenty uliczek wyłożono kocimi łbami.

Przyglądając się staremu cmentarzowi, obiecywałem rychłą na nim wizytę związaną z poszukiwaniem mogił moich antenatów. I wtedy, tak jak i teraz, zadałem sobie pytanie: dlaczego powszechnie mówi się, że ktoś został pochowany na takim to, a takim cmentarzu? A dlaczego nie stwierdza się, że spoczęło na nim jego ciało? Gdyby twierdzili to ateści, byłoby to dla mnie zrozumiałe. Bo dla nich człowiek to tylko ciało. Ale dlaczego to samo stwierdzenie pada powszechnie z ust osób wierzących (mam na myśli w tym momencie chrześcijan)? Będąc przekonanymi, że na człowieka składa się ciało i dusza, winni przecież mówić, że w mogile znajduje się tylko to pierwsze, bo to drugie...

Co pewien czas przekładałem torby na ramionach. Tak, aby to obciążone mniejszym ciężarem, mogło nieco odpocząć.

Widziałem nieliczne zabudowania. Nie było w tym absolutnie nic dziwnego. Albowiem tę krainę cechuje m. in. nieduże, jak na Europę, zaludnienie. Świadczyło o tym i to, że minęła mnie tylko osoba na rowerze i samochód. A jeśli chodzi o ów pojazd dwuśladowy, wiedziałem, że wystarczyłoby, abym pomachał, żeby się zatrzymał. Wtedy drogę, którą miałem przed sobą, a przynajmniej jej część, nie musiałbym pokonywać pieszo. Nie uczyniłem jednak tego. Chciałem, jak wspomniałem na wstępie, przejść dla własnej przyjemności tych 11 kilometrów. Bez udowadniania czegośkolwiek sobie, jak i komukolwiek innemu.

Claudio Magris w przedmowie do *Podróży bez końca* odnotował:

Podróżować nie po to, aby dotrzeć do celu, lecz aby dojechać jak najpóźniej, aby nie dojechać – o ile to możliwe – nigdy.

Nie podzielałem wówczas, gdy szedłem, nie podzielał i teraz, gdy piszę te słowa, w całości poglądu Magrisa. Jak najbardziej pragnąłem dotrzeć do celu – po to wyruszyłem. Lecz faktem jest, że nie śpieszyłem się. Chciałem przedłużyć odczuwanie zadowolenia związanego z tym, że mogę ponownie patrzeć na tak mi bliski krajobraz. Ten zaś był nie tylko zbiorem elementów przyrodniczych, lecz zawierał w sobie także wspomnienia, opowieści, których część związana była ze mną. Chciałem też przedłużyć oczekiwanie na znalezienie się u celu, o którym myślenie było przyjemnością.

Minąłem tablicę z napisem: Żłobin. Potem przeszedłem nad przepustem, przez który płynie Pawłówka, niewielka rzeczka zmierzająca do pobliskiego jeziora Gremzdy.

Domów nadal widziałem niewiele. A ludzi jeszcze mniej. W tym względzie nic się nie zmieniało. Pola były poroździelane zagajni-

kami i niewielkimi kompleksami leśnymi, z których część rosła na bagnach.

Rzecz jasna pamiętałem, że z drogi, którą szedłem korzystali moi przodkowie, gdy udawali się do kościoła krasnopolskiego (parafia w Karolinie powstała w 1921 roku); niekiedy furmanką, ale najczęściej na własnych nogach. A do przejścia mieli, licząc także powrót, 22-24 kilometry. Ta różnica w odległości zależała od tego, gdzie mieszkali.

Droga nie zmieniła swego przebiegu. Także wiek temu, za Żłobinem, szerokim łukiem skręcała na prawo, kierując się ku Głuszynowi. Z tym, że obecni mieszkańcy tej wsi, o rozrzuconej zabudowie, z nielicznymi wyjątkami, nie są potomkami tych, którzy spoglądali na moich przodków, gdy ci, piaszczysto-żwirową drogą kierowali się ku Krasnopolowi bądź z niego wracali. W 1940 roku, na podstawie porozumienia Ribbentrop-Mołotowa, rosyjskojęzyczni staroobrzędowcy* zostali bowiem przesiedleni do Związku Radzieckiego. Po 1945 roku powróciły tylko dwie rodziny.

Przy okazji wspomniania o Głuszynie i jego mieszkańcach, przytoczę nst. wypowiedź:

Nie wyobrażam sobie, żebym miał ochotę pojechać do Chin, Indii czy Japonii.

Myślę, że to byłoby daremne, że nic się z tego nie zrozumie. Europejczyk musiałby poświęcić życie, aby poznać religie, obyczaje, zasadę etyczną tamtego świata, jego historię i literaturę. Ja nie jestem ich ciekawy.

Te słowa napisał Paweł Hertz w *O podróży*. Ale myśl tę, co najwyżej innymi słowami, mógłbym zapisać także ja. Bo taki sam mam pogląd na swoisty imperatyw podróżowania do odległych krajów, jaki współcześnie silnie daje o sobie znać. Z których to podróży, najczęściej krótkich, przywozi się zdjęcia i zapamiętane, ale powoli zacierające się, obrazy i spostrzeżenia nie powiązane ze sobą. A tymczasem świat wokół nas, ten najbliższy, tylko pozornie znany, czeka na dogłębniejsze poznanie. Przytoczyłem tę wypowiedź Herta, aby było nas przynajmniej dwóch. Bo reprezentujemy pogląd, który nie należy do popularnych.

Niedaleko przed tablicą z napisem: Głuszyn, urywa się asfalt. I dalej droga jest taka, jaką była od początku. W upalne dni unoszą się nad nią tumany kurzu, gdy przejedzie samochód. Jeszcze niedawno wznicały go konie i ciągnięte przez nie furmanki.

Miałem nadzieję, że idąc przez początkowy fragment Głuszyna zobaczę, choćby, część rozległego jeziora Gremzdy. A w pewnym miejscu dzielił mnie od jego wschodniego brzegu niecały kilometr. Skryte było jednak za pagórkami.

Natomiast nieco później, gdy droga dojechała kolejnego skretu, tym razem na lewo, moja marszruta poczęła prowadzić wzdłuż jeziora Głuchego. Miałem je po swojej prawej ręce. Było zamrożone na całej powierzchni. Nie skuwał go jednak gruby lód. Świadczyło o tym zmienne zabarwienie poszczególnych jego fragmentów. Z drugiego brzegu jeziora dobiegało szczekanie. Poza tym dźwiękiem panowała zupełna cisza.

Torby postawiłem na zeszytniałej trawie. Zacząłem przyglądać się jezioru i jego otoczeniu. I pomyślałem wówczas o definicji wypowiedzianej przez Josifa Brodskiego:

(...) woda (...) forma stęzęłego czasu.

Wywołał ją z mojej pamięci, niewątpliwie, widok zamrożonego jeziora. Za jego sprawą ów czas prezentował się, jako jeszcze bardziej stęzły, przynajmniej przy powierzchni. Lecz równocześnie był wolno płynący. Jako że również przez to jezioro toczyła leniwie swe wody, wspomniana, Pawłówka. Będąca zresztą lewym dopływem Czarnej Hańczy.



Fot. Dariusz Pawlicki

Fragment jeziora Głuchego

Po kilkunastu minutach zatrzymałem się ponownie. Tym razem, aby spojrzeć na ostatnie, od strony południowej, gospodarstwo na Głuszynie. A dokładnie, na popadające w coraz większą ruinę, od około trzydziestu lat, niewielkie budynki. Od śmierci ostatniego właściciela, który nie miał dzieci, jego czterech czy pięciu braci nie mogło bowiem dojść do porozumienia w sprawach własnościowych dotyczących zabudowanej parceli, jak również gruntów rolnych. Tego samego nie było w stanie dokonać także kolejne pokolenie spadkobierców. Z tym, że było ono znacznie liczniejsze. Ale czas, absolutnie nie zainteresowany sprawami własnościowymi, pamiętał o wspomnianym gospodarstwie, jak zresztą o wszystkim innym. I wolno, lecz systematycznie, bierze je w posiadanie. To znaczy unicestwia wszystko to, co stworzył człowiek.

Ze wzniesienia, na którym znajdują się ruiny domu i budynków gospodarczych, rozciągał się kiedyś rozległy widok na całe jezioro Głuche i pagórkowatą okolicę. Obecnie jest on znacznie ograniczony za sprawą młodnika sosnowego, który wyrósł na zboczu wzniesienia, pomiędzy tym, co było kiedyś domem a brzegiem jeziora. Nie pamiętam, aby rosły tam jakiekolwiek sosny, gdy zawiątałem w to miejsce pierwszy raz, przeszło dwadzieścia lat temu. Za to utkwiło w mojej pamięci jakieś duże drzewo iglaste rosnące tuż obok domu, w którego oknach wisały wówczas jeszcze strzępy firanek. Był to chyba samotny

modrzew. Z tamtej wizyty zapamiętałem jeszcze i to, że wiało niezwykle silnie od strony jeziora. Teraz zaś rośnie tam bardzo dużo drzew. Żadne z nich nie było jednak okazałe.

Dotarłszy w tych zapiskach do bardzo konkretnego miejsca nad jeziorem Głuchym, sięgnąłem do prowadzonej na własny użytek *Księgi cytatów*. Korzystam z niej, gdy uznam, że warto posłużyć się cudzą myślą (czy aby na pewno jest ona jeszcze cudza, skoro wiedzę, jakby odrębne życie?). Czynień to nie tylko dlatego, aby zyskać wsparcie. Także po to, aby jej autora, przywołać stamtąd, gdzie przebywa. Tak bowiem się składa, że prawie zawsze są to autorzy nieżyjący. Cytat, którym chciałbym posłużyć się na koniec niniejszego tekstu, pochodzi z *Malarza życia nowoczesnego* autorstwa Charlesa Baudelaire'a i brzmi tak:

Przyjemność oglądania teraźniejszości, nie zależy tylko od piękna, które ją stroi, ale również od jej cechy zasadniczej – że jest teraźniejszością.

Bo o roztaczającej się przed moimi oczami teraźniejszości, o „teraz”, o jego niepowtarzalności, myślałem patrząc 21 grudnia 2011 roku, na zamrożone jezioro Głuche. O tym myślałem ja, myślał Baudelaire, jak też, o czym jestem przekonany, ostatni mieszkaniec domu na Głuszynie, na którego na wpół zrujnowanej ścianie, nie tkwi już niewielka tabliczka z nazwą wsi i numerem domostwa. Nie mógł bowiem być obojętny wobec tego miejsca. Ono zresztą „nie pozwoliłoby” na to!

* Staroobrzędowcy (zwani także raskolnikami, a niewłaściwie – starowiercami bądź starowierami) – przeciwnicy zmian wprowadzonych w prawosławiu, w latach 1654-1657, przez Patriarchę Moskwy Nikona. Wkrótce ruch uległ podziałowi na popowców (uznawali ideę kapłaństwa i hierarchii kościelnej) i bezpopowców (odrzucał jakiegokolwiek strukturę kościelną i kapłaństwo sakramentalne). W następnych latach oba odłamy zaczęły podlegać dalszym podziałom. Poddawani okrutnym prześladowaniom na terenie państwa moskiewskiego, staroobrzędowcy częściowo wyemigrowali. Osiedlili się m. in. na Suwalszczyźnie w Wielkim Księstwie Litewskim.

Nad Sanem rodzi się poezja

Z niedosytu wieczornej ciszy, / sen zaprosił na ucztę wiersz – tak Bogdan Stangrodzki zaprasza na wieczorną poetycką ucztę w wierszu „Poetka we śnie”. Wierszu, który zamieszczony został w almanachu poetyckim „Wiersze znad Sanu”. Na ile jest to zaproszenie reprezentatywne dla 16 twórców obecnych w almanachu – w tym jednego, który wybrał formę aforyzmu? Na ile znamienne dla kilkudziesięciu utworów w nim zamieszczonych?

Mirosław Osowski, który zamiast wierszy zaproponował wieńczące ten zbiór aforyzmy, jest nie tylko wydawcą almanachu, ale także jego *spiritus movens*, inicjatorem przedsię-

wzięcia i założycielem Stalowowolskiego Klubu Literackiego, który zrzesza poetów prezentujących się na kartach almanachu.

Każda nowa inicjatywa, promująca działania twórcze w środowisku, jest niezwykle cenna, tym bardziej jeśli nie jest kolejną formą prezentacji znanych już i posiadających pewien status twórców, ale obok nich daje szansę twórcom niemającym takiego dorobku, którzy nie posiadają wydanych zbiorów, nie mieli za wiele okazji, by zaprezentować się jako twórcy. Mirosław Osowski, członek rzeszowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, potrafił zjednać dla tej nowej inicjatywy sporą ilość twórców, wśród których znaleźli się także inni członkowie ZLP – Małgorzata Żurecka, Bogdan Stangrodzki i Ryszard Mściśz, jak również poeci związani kiedyś lub obecnie ze Stowarzyszeniem Literackim „Witryna” w Stalowej Woli: Elżbieta Ferlejko, Mirosław Grudzień, Jacek Kotwica, Marta i Grzegorz Męcińscy, Andrzej Moskal i Wiktoria Serafin. Na łamach almanachu prezentuje się jednak – z mniejszą lub większą ilością wierszy – spora grupa twórców, którzy nie mieli wielu okazji, by zaprezentować swój dorobek: Henryk J. Giecko, Hiacynt Górnicki, Marta Sienkiewicz, Dariusz Sienkiewicz i Beata Weremińska.

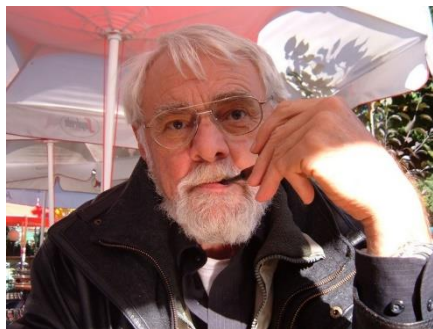
Taki stan rzeczy powoduje, że almanach jest zróżnicowany tematycznie i formalnie: znajdziemy tu wiersze dla dzieci (Marta Sienkiewicz), utwory będące apologią natury, zwłaszcza lokalnej (Henryk J. Giecko i Hiacynt Górnicki) czy zrodzone z filozoficznej refleksji nad życiem (Andrzej Moskal). Można powiedzieć, że część twórców zaproponowała utwory bardziej jednorodne tematycznie, inni zaś bardziej zróżnicowane zestawy wierszy. Pod względem formalnym także poezja w almanachu balansuje między tradycyjnym a bardziej nowoczesnym wzorcem rytmicznym i formą wiersza. Dopełnia owej różnorodności zaś wieńczący zbiorów zestaw aforyzmów Mirosława Osowskiego.

Świat nie jest, / świat się wiecznie zaczyna – pisze w „Przybosiowskim” wierszu „Gwoźnica” Marta Męcińska. Zapewne nie tak wielu autorów almanachu podąża twórczą drogą wybitnego poety Awangardy Krakowskiej, ale ta formuła twórcza zdaje się im przyświecać. Na nowo, po swojemu podejmują jednak znane, popularne motywy, opisując bliską sobie (nie tylko nadszańską) rzeczywistość. Słowa są niczym dźwięki, z których „czyjeś dłonie złożyły partyturę” – jak w swoim wierszu *** (*w ukryciu wysłuchasz*) napisał Hiacynt Górnicki. Warto zapoznać się z tymi utworami, odkryć jak czynią to twórcy almanachu „Wiersze znad Sanu”. Ta obiecująca inicjatywa Mirosława Osowskiego przyniosła niezły efekt – wypada wierzyć, że będzie załącznikiem czegoś bardziej trwałego, co zaowocuje nie tylko kolejnymi almanachami, ale także innymi przedsięwzięciami, formami działania.

Ryszard Mściśz

Wiersze znad Sanu. Almanach poetycki. Pod red. Mirosława Osowskiego, Stalowa Wola 2020.

Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

Hej, kolęda, kolęda...

Pastorałka... jako kolęda jest usadowiona jakby w drugim rzędzie polskich kolęd, a przecież dusza tych utworów to sama poezja, jej tchnienie pozostaje też modlitwą łączącą się z tchnieniem najwyższej Myśli, jest wołaniem i hymnem dla narodzin Chrystusa. Pastorałki mają określony kształt poetyckiego słowa, może nieco rubasznego, ale tworzącego właściwy w swej postaci wizerunek Bożej Dzieciny w świecie daleko od wielkich miast. Jest w tych, czasami prostych pastorałkach, niejako analiza poetyckiego słowa tych prostych osobowości ludu, zakorzenionej w swym małym, ciasnym świecie, który być może nie spełnia oczekiwań wytrawnych znawców poetyckiego słowa. Jest to język prosty, lakoniczny, z tym wolnym od uniesień zapisem chłopskiej intuicji. Słowem ogromne prostota słów i skojarzeń płynących prosto z serca. Taka też jest melodyka utworów. Jak wszędzie tak i tutaj bywają fale mody, fale uznania. Jest też faktem, że nasze polskie kolędy są najpiękniejsze na świecie. Takie są też pastorałki, których mnogość nigdy nie została policzona. Większość z nich jest bez nazwisk, tak autorów tekstów, jak i opracowań muzycznych. Są psalmami wyobraźni ludowej, psalmami prostoty wiejskiej i chłopskiej filozofii życia. Wyobrażam sobie jak ongi wyśpiewywane były takie kolędy w wiejskich kościołach, kiedy nie było elektryczności, a zimy bywały ostre, z kopami śniegu, przez który należało brnąć po kolana w mgle i szronie, a wszystko było skute mrozem. W chłodnych nawach wyśpiewywano dla własnej radości z narodzin Pana pastorałki pełne prostoty. Wyśpiewywano obrazy wydarzeń betlejemskiej nocy, ciężącymi nad latami niewoli, niepokodzenia się z losem, prosząc Dzieciątka w pokornym śpiewie o zmianę chłopskiej doli. Piszcząca w tym zaśpiewie bieda okrutna, ale też chłopska przekora, że niebo sprawi rychło zmianę losu.

A te nasze święta? Czy panująca zaraza wszystko zmieni? Po raz pierwszy nie cieszą mnie te święta. Nawet pod choinkami w lesie czai się jakaś otchłań. „Bywają dni, kiedy życie przestaje smakować jak u Camusa. Żyć dalej – to grzech, jak pisała w swoich pamiętnikach

Anna Kamieńska – anioł poezji polskiej. Hej, kolęda! Gdzie się ukryłaś, kolędo?

Kazimierz Iwosse



Iwona Pinno

Pastorałka

Zmierch się kładzie hen po polach
ciszę gra
pieśnią dzwoni mróz dokoła
bieli dach
wschodzi gwiazda Betlejemka
na niebie tuż
i anieli w glorii chwały
zwiastują już

Święta noc się rozpoczyna
pastuszkowym graniem
idą święci wystrojeni
radosnym śpiewaniem
niosą złoto i kadzidło królowie
Panu Bogu zrodzonemu we żłobie

A w ubogiej mojej chacie
pachnie barszcz
bieli się opłatek w sianie
świecy blask
stół obrusem ozdobiony
zaprasza nas
do dzielenia się radością
w wigilijny czas

Płynie już kolęda święta
nad tatrzańską granią
idą wszyscy wystrojeni
radosnym śpiewaniem
świerki śniegiem otulone wysoko
stoją by skłonić się Panu głęboko

Ernest Bryll

Piosenka kolędników

Przez śnieg grudniowy
Przez deszcz lodowy
Przez świat śmiertelnie biały
Idziemy sami
Niosąc pytanie
Kto jesteś Polak mały

Nad nami gwiazda
Nie bardzo jasna
Wiatr nas za gardło ścisnął
Chrypiąc śpiewamy
Odpowiadamy
Ta ziemia
Mą ojczyzną

Takie pytania
Bolą jak rana
Kto z was odpowie szczerze
Myśmy zmęczeni
Sami nie wiemy
W jaką Polskę
Wierzyć

Bądźmy dla siebie bliscy, bo nas rozdzielają

Bądźmy dla siebie bliscy, bo nas rozdzielają
I co chwila nam ziemia pęka pod stopami
A te okrawki
Kraju, na których stoimy
Z hukiem od siebie w ciemność odpływają

Bądźmy dla siebie bliscy, kiedy się boimy
Gdy byle kamyk może poruszyć lawiny
Bądźmy dla siebie bliscy, kiedy ciemne góry
Odpychają nas nagle swoim ciałem zimnym
Bądźmy dla siebie wierni, kiedy rosną mury

Bo tyle w nas jest siebie, ile ciepła tego
Które weźmiemy od kogoś drugiego
A drugi od nas weźmie i w sobie zatai
Bądźmy dla siebie bliscy, bo nas rozdzielają.

Póki dla nas światelko się pali

Póki dla nas światelko się pali
To nie lękaj się, czy jutro błysnie
I tak kiedyś dłonią ze stali Ktoś nam naszą
świeczuszkę zaciśnie

Ale teraz w jej blasku ciepłutkim
Widzę twoje oczy wpółuśpione
I iskiarki w źrenicach cichutkie
I nad głową lampę jak koronę

I za oknem wiatr i dym z miasta
I że idzie ktoś – a stukanie
Po chodniku jest jak kropel padanie

Jeszcze świeci w naszym oknie gwiazda.

Kozetka (60)**Suchar codzienny**

Geniusz ludzki może oddychać swobodnie tylko w atmosferze wolności.

John Stuart Mill

Geniusz, a nawet talent polega nie na tym, że się wie więcej, lecz że się wie wcześniej.

Janina Ipohorska

Jak wszyscy młodzi ludzie postanowiłem zostać geniuszem, ale na szczęście w porę zachciało mi się śmiać.

Lawrence Durrell

Uczenie się jest najwspanialszą i dającą największą radość grą na świecie. Wszystkie dzieci rodzą się z takim przekonaniem, dopóki nie przekonamy ich, że nauka jest ciężką i nieprzyjemną pracą. Niektóre dzieci nigdy nie dają się o tym przekonać i przechodzą przez życie, wierząc, że nauka jest przyjemnością i jedyną grą, w którą warto się bawić. Tacy ludzie mają swoje specjalne miano. Nazywamy ich geniuszami.

Glenn Doman

Joanna Friedrich

Trochę cytatów o geniuszach bo ostatnio mam głównie do czynienia tylko z dziećmi, a wiadomo, że wszystkie dzieci to geniusze.

4 to ulubiona cyfra mojego taty.

Od nowa uczyć się zdrowego egoizmu i szukania okruczeństwa szczęścia, czy też po prostu drobnych pozytywów, które, jeśli rzucisz na tacę dobrym couchem/erom (?) wyświetlają ci się automatycznie przy porannej kawie.

Koncentrat rzeczywistości, mindfulness – koncentracja ma sens, to konie mechaniczne wyobraźni.

W tym roku zdarzyło mi się coś przyjemnego, przeczytałam zimą książkę o Juracie „Jurata. Cały ten szpas”, żeby latem znaleźć się w niej na żywo.

Tyrmand w swoim dzienniku pisze, że długie lata wyobrażał sobie warszawski dom, w sąsiedztwie którego w końcu wylądował. Jakby Los dawał nam kilka szans Na To Samo, czyli... Przeznaczenie?

Moja droga do miejsca, w którym obecnie się znajduję, też nie zaczęła się wczoraj. Z tym większym zaskoczeniem przyjmuję ukryte na miejscu niespodzianki.

Jak schowana w lesie, najspokojniejsza z miejscowych uliczek, zawsze skąpana w słońcu i chroniona jakimś cudem przed wiatrem.

Wzdłuż tej drogi prowadzącej nad jezioro znajdują się domki letniskowe, o tej porze roku uśpione jak borsuki.

Każdy z nich mógłby być bohaterem powieści Murakamiego. (Jedyny mieszkaniec, którego spotykam – macha mi z tarasu w szlafroku – wygląda z kolei jak prosto z Dostojewskiego albo – co tu dużo mówić – z filmu „Podziemny krąg”).

Sezonowe, więc niezobowiązujące, nie posiadające ciężaru całoroczniaków, ze wszystkimi ich garderobami, schowkami, nadmiarem nadbagażu, koniecznym ogrzewaniem i piwnicami potrzebnych gadżetów.

Tymczasowość unosi je niczym poranna rosa półmrok.

Jest bajkowo i filmowo jednocześnie.

Wysłałam ich zdjęcia najbliższym przyjaciółom bo tak się składa, że właśnie potrzebują odskoczni poza miastem (kto nie) i spotykałam się z entuzjazmem, którego się nie spodziewałam.

Miło trafiać w sedno potrzeb współbratniaków.

O shoppingu mogę pomarzyć. Tzn. miałam postanowienie, że go nie będzie z ekowzględów, ale co innego postanowienie, a co innego lockdown. Zostaje mi taki window shopping, i to dosłowny, budowlany, na miejscu. Oczywiście wiem, że zawsze może być gorzej.

Kiedy byłam młodsza, w tym miejscu nie zapomniałam dodać, że zawsze może być lepiej. Nawet, jak wygrał Bush i Trump.

Ale miało nie być o polityce.

Dziś Missoni, Spring ready to wear, 2021, dzianina jest najlepsza na wszystko.



Dieta (suchar?) jest dobra na początek wszystkiego („Przekrój” nr 4 wychwala głodówki), a jeśli dieta, to dzianina tym bardziej, jako marchewka dla moich wewnętrznych mechanicznych koników, żeby nie zardzewiała:

Atmosfera wolności made by Italy...

Dominik Ćwik

* * *

Po powiekach przemykają cienie jaskółek one odchodzą szukając dobrych miejsc słowa zastygają w kamienie i tkwią boleśnie w gardle nie wypada nawet prosić by zostały i cóż że ciągle pragnienie gdy źródła umarły nikt nie dopełnił ich łzami wyschnięta skóra dna rzeki pozbawiła wszelkich złudzeń nawet jaskółki tak zawsze wierne memu sercu

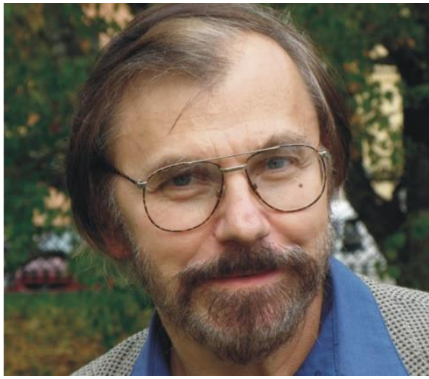
* * *

Skąd w moich myślach te czarne anioły niosące topór i miecz rozżarzony skąd w moich oczach czaszki i popioły szkielety białe okryte przez wrony a przecież miałem dotrzeć do Arkadii wąską ścieżyną na wzgórza zielone gdzie w garści można nazbierać poziomek i gdzie nadzieje zostaną spełnione o końcu świata i o zagładzie ktoś przepowiednie snuje niezmiennie a dla niektórych ten koniec świata przecież wydarza się codziennie

* * *

Najpierw jedni przed wiekami kości rzucali o purpurę szaty potem inni włożyli serca w dzwony Twoich świątyń Słyszę dudnienie w posadach świata gną się giganci kiedy puch słowa na kark im opada

Listy do Pani A. (149)



Ambiwalencja egzystencjalna

Droga Pani!

Często zastanawiam się nad sensem pisania. Jednak samo pisanie od nas nie zależy. To jakby naturalna konieczność wypowiedzenia tego, co się w nas kryje. Owocuje to literaturą, gdy taką konieczność odczuwa ktoś utalentowany. A poza tym pisanie ma znaczenie terapeutyczne. Pozwala na wiele rzeczy spojrzeć z dystansu, rozładowuje wewnętrzne napięcia, daje zadowolenie płynące z władzy nad słowem.

Choć o tym wiemy doskonale, to jednak wątpimy w wartość swojej twórczości, choć odnosimy sukcesy, masz na koncie wiele pozycji książkowych. To powinno utwierdzać nas w poczuciu wartości tego, co robimy. Dręczy nas pytanie, czy ktoś to przeczyta? Z pewnością tak. Książki mogą przekraczać czas. Mamy na to dowód w biografii niemal wszystkich pisarzy. A jeśli nas ktoś zacznie czytać dopiero w 2099 roku? To okaże się, że warto było, choćbyśmy tego nie doczekali. To, co piszemy teraz, przetrwa i będzie do odkrycia.

Czytałem kiedyś wywiad z Ewą Lipską. Ona przyznawała się do wielu podobnych obaw, do zwątpień w wartość własnej poezji oraz w sens pisanie. Ale pisze dalej. Wypełnia zadanie poety. Przekazuje bowiem siebie i współczesny świat czytelnikom dzisiejszym i przyszłym. Pisać nie można przerwać, choćby nawet się chciało. I wcale nie chodzi tu o częstotliwość aktu twórczego. Każdy twórca jest odrębną osobowością, inaczej widzi świat, a interpretatorzy mają także swobodę w docieraniu do autorskiej, indywidualnej i wieloznacznej prawdy. Wszyscy piszemy inaczej, odmiennie widzimy i odbieramy rzeczywistość, mamy różne doświadczenia. Ale to nie znaczy, że prawdy są różne. To my jesteśmy różni, innym językiem się posługujemy i na własny sposób widzimy zjawiska. Sztuka nie może być dogmatyczna. Inaczej pisał i widział swoją rzeczywistość Stanisław Przybyszewski, a inaczej Wojciech Bąk, jeszcze inaczej Emil Zegadłowicz. I dlatego poezja jest tak

interesująca. Nie należy się zatem zbytnio przejmować sensem tej – wydawałoby się nikomu niepotrzebnej – pracy.

Czytam teraz świetnie napisaną przez Radosława Romaniuka biografię Jarosława Iwaszkiewicza. Także i ten wielki pisarz przeżywał podobne dylematy. Chyba nie ma świadomego literata (nie mówię o tabunach panów zamieszczających w hurtowych ilościach swoje sentymtalne wierszyczki w internecie), któremu tego typu przemyślenia byłyby obce.

Czytam więc teraz wspomnianą biografię oraz nowele Iwaszkiewicza, przenoszę się w tamte klimaty, więc się trochę „wyprowadziłem” z codzienności.

Na świecie też niewesoło. Zupełnie jakby sprawdzali się przepowiednie czasów ostatnich. Nie mamy na to wpływu, więc nie należy się tym przejmować. Ja przynajmniej staram się zachowywać obojętność, przy odrobinie niepokoju. A polityką się wcale nie interesuję, choć wyraźnie widzę jej irracjonalność oraz idiotyzmy. Tylko takiego jednego chłystka mógłbym z przyjemnością trzasnąć osobiście, lecz poeci posługują się inną „bronią szybkostrzelną”.

Tak więc u mnie jeszcze trwa hitlerowska okupacja, i odczuwam atmosferę Stawiska tamtych czasów. Niedługo skończy się wojna, a potem nadejdą wydarzenia, które z autopsji już lepiej lub gorzej pamiętam. Od 1967 roku wchodziłem pomału w życie literackie. Iwaszkiewicza widywałem rzadko, i jakoś nie było okazji, aby mu się przedstawić. Czytam więc biografię pióra Radosława Romaniuka z wielkim zacięciem. Choć czasy były trudne, to dziś już stanowią odskocznnię od współczesności. Ponieważ chciałbym żyć wtedy i teraz, ukułem terminów ładnie brzmiących: „ambiwalencja egzystencjalna”. A może to już było? Co Pani sądzi o tym?

Od Andrzeja Krzysztofa Torbusa dostałem dwie książki. Pierwsza nosi tytuł „Aż po horyzontu kres”. To bardzo oryginalny tom. Składa się z trzech części: „Wiersze”, „Piosenki”, „Pokruszki” oraz z Epilogu. Jest to książka obrazująca przebogaty warsztat poetycki, wyuczucie i wrażliwość na słowo, nietuzinkową wyobraźnię, humor, dystans i dowcip.

Druga książka, to „Zasypianki” zawierająca utwory dla dzieci. Ale – jak przewrotnie napisał Andrzejowi – nie tylko. Przytoczę zatem ku rozweseleniu fragment mojego listu do poety. Mam nadzieję, że Pani się nie zgorzzy:

„Świetne także są „Zasypianki”. Trafna jest fraza „O Mikołaju”, który *laskę trzyma w ręce*. Ale worków wcale nie ma z tyłu, chyba że się znacznie opuściły, co zdarza się chłopcom w naszym wieku, i Mikołajom. *Bajko, bajeczko / pod kołderką razem z nami zaśnij* – to także marzenie facetów starych i młodych. A chomik z „Zasypianki choinkowej” *wyjdzie z norki*, jeśli w ogóle jeszcze uda mu się tam wejść. Pociągając, a nawet wręcz hurra optymistycznie brzmi fraza z „Zasypianki noworocznej”: *a już noworocznie / zadzwoniło w szyszkach*. „Zasypianka zegarowa”, to znowu miłe wspomnienie dawnych lat: *gdy któryś nie szedł tylko stał*. Ale wymieniono mu oś i zegar

bił. Godziny, oczywiście! Uwielbiam też ciepłe futerka, jednak niekoniecznie pluszowych misiów. I ciekawe jaką to bajkę opowie kołderka. Czy jesteś przekonany, że są to do końca wiersze dla dzieci? A poza tym są świetne, pełne poezji.”

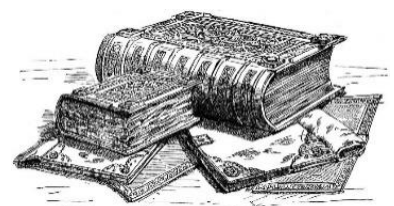
Aby ten fragment „listu z kluczem” właściwie odczytać, namawiam Panią do uważnego przeczytania „Zasypianek”.

Andrzej Walter w poprzednim numerze napisał o „Jestem obcy” znakomity esej. Wszyscy jednak trochę błędnie interpretują tytuł. „Obcy jestem”, to nie znaczy, że dla podmiotu lirycznego świat jest obcy, tylko odwrotnie: to podmiot liryczny jest obcy współczesnej rzeczywistości, która nie bardzo go rozumie. Widzę, że sam zaczynam interpretować coś, co nie da się przełożyć na język potoczny. A może jest to obojętne obustronne? Tak więc tutaj jest duży margines interpretacyjny dla krytyków i czytelników. A może to po prostu głupi tytuł... Jest w tym tomie wiele sprzeczności: od afirmacji do negacji, od empatii do totalnej asertywności, od smutku (egzystencjalnego) do wesołości oraz cynizmu, od wyczuwania powagi różnych sytuacji do humorystycznego czy wręcz lekceważącego, nawet obrazoburczego spojrzenia. Czasami – jednocześnie to samo zjawisko, i to w tym samym momencie, budzi dwojakie skojarzenia. A więc sam pewnie jestem poplątany i wewnętrznie sprzeczny. Jednak nie czuję z tego powodu psychicznego dyskomfortu. A nawet gdy czuję, że siebie nie lubię, to... jednak lubię. Kiedy widzę w telewizji reklamę, w której starszy jegomość powiada: „traumon mi pomógł, to i ja pomagam”, myślę sobie: a gdyby ci nie pomógł, to byś dziadu bezinteresownie tyłka nie ruszył. I tak na ogół bywa z tą „szlachetną” empatią.

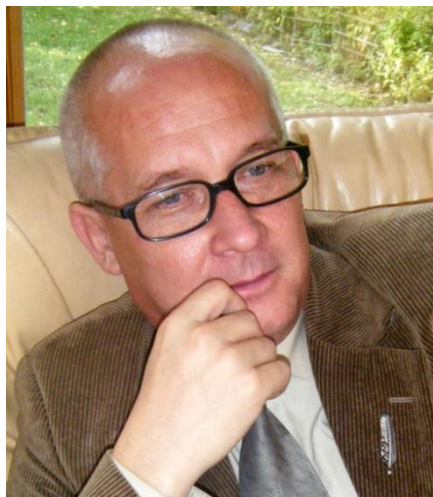
Co Pani sądzi o kretynizmach sądowych? To zastępczy temat w dobie rosnących zachorowań. A'propos – kiedyś wszedłem do apteki. Powiedziałem: „poproszę antykwurwidol”. Farmaceutka zrobiła wielkie oczy. A ja spokojnie i grzecznie wyjaśniłem, że chodzi mi o „magneB6”. Obecnie też by się przydało, i to forte! Za bardzo jestem za aborcją sędziów, ministrów i innych takich zidiociałych fanatycznych homunkulusów. I to metodą spartańską, bo tańsza...

Ale milczcie złe emocje. Zbliżają się Święta, w czasie których wszystko łagodnieje. Nawet zgłodniały lew schowałby w wigilię człowieka do lodówki. Na później. A więc wy-ciszmy się, zapomnijmy o złu, które się panoszy. Ono też bywa często oczyszczające. Życzę zatem Pani spokoju, pogodnych myśli. A w tym roku trudnej do osiągnięcia, choć jednak możliwej, bożonarodzeniowej atmosfery –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



0 tradycjach Bożego Narodzenia

Boże Narodzenie w chrześcijańskim świecie obchodzone jest od IV wieku. W przeszłości zwane było w Polsce Godami, Godiami lub Godnymi Świętami – od starosłowiańskiego słowa god, czyli rok. Jak pisze Barbara Ogrodowska w książce pt. „Święta polskie”, nazwa ta pochodzi od zaślubin (godów) starego i nowego roku oraz nocy i dnia, gdyż czas Bożego Narodzenia zbiegał się z przesileniem słonecznym...

Andrzej Dębkowski

Nazwą Gody określano nie tylko dwa świąteczne dni, ale też czas między Bożym Narodzeniem do Trzech Króli, gdyż jeszcze na początku naszego stulecia Boże Narodzenie świętowano całe 12 dni.

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia, 25 grudnia, rozpoczynało poranne nabożeństwo. Potem czas spędzano przy suto zastawionym stole – na rozmowach, śpiewaniu kolęd, modlitwie i odpoczynku. Tego dnia powstrzymywano się od wszelkiej pracy, nie wolno było sprzątać, rąbać drzewa, przynosić wody ze studni, a nawet gotować.

Tradycja zakazywała również cesać się, przeglądać się w lustrze i spać w ciągu dnia. Zwyczajowo nie urządzano w tym dniu weseli ani zabaw, poza najbliższą rodziną nie składano i nie przyjmowano wizyt.

Drugi dzień świąt jest dniem św. Szczepana. W przeszłości popularnym zwyczajem, związanym prawdopodobnie z przedchrześcijańskimi praktykami zaklinalnia urodzaju, było obrzucanie się ziarnem. Podczas składania sobie życzeń sypali nim domownicy i sąsiedzi, dzieci używały go podczas powrotu z nabożeństwa do psot i zabaw, a kawalerowie nie szczędzili ziarna do obsypywania nim

dziewcząt. Podobnie jak w pierwszy dzień świąt nie pracowano, za to popularne było składanie wizyt rodzinie i sąsiadom.

Wigilijne potrawy – dawniej i dziś

Chociaż wigilijny stół wygląda inaczej w poszczególnych regionach Polski, ale nigdzie nie powinno zabraknąć podczas tej wigierzy czerwonego barszczu, śledzia, klusek z makiem czy kompotu z suszonych owoców.

Wigilijny jadłospis jest bogaty, gdyż kiedyś wierzono, że to zapewnia obfitość jadła i umożliwia korzystanie z wszelkiej przyjemności i radości życia w nadchodzącym roku.

Dawniej wigierza zaczynała się od zupy, dziś od zakąsek. W Wielkopolsce i na Śląsku podawano z reguły zupę migdałową lub rybną, w Małopolsce i we wschodnich regionach – barszcz czerwony albo zupę grzybową. W starych książkach kucharskich można też znaleźć przepisy na zupę piwną i polewkę z siemienia lnianego, tzw. siemieniankę (siemieniuchę). Czasem Wigilię rozpoczyna żur, żurek, zalewajka, barszcz biały (nazywany zaleźnie od regionu), którego bazą jest kiszonka maki żytniej.

Najważniejsze na stole wigilijnym były i są ryby. Kuchnia staropolska słynie z wielu oryginalnych przepisów. W dawnej Polsce, w zamożnych domach istniał nawet zwyczaj przyrządzania na kolację wigilijną aż dwunastu dań rybnych, które liczono jako jedną potrawę. Podawano więc karpie, szczupaki, karasie, liny, sandacze, pstrągi i inne ryby słodkowodne, przyrządzając je w rozmaity sposób. Był zatem karp smażony i karp po polsku w słynnym szarym sosie gotowanym na piwie, z orzechami, migdałami i rodzynkami, zaprawionym karmelem lub pokruszonym piernikiem i powidłami śliwkowymi, karaś w śmietanie, lin z grzybami lub w czerwonej kapuście, szczupak po żydowsku i szczupak w sosie chrzanowym.

Specjalnością kuchni polskiej są też śledzie przyrządzane na różne sposoby i podawane na początku wigierzy jako zakąska. Najpopularniejsze są śledzie w oleju i śledzie marynowane.

Oprócz dań rybnych podawano wiele innych potraw. Do najbardziej popularnych należały groch z kapustą, kapusta z grzybami oraz pierogi z kapustą i grzybami.

Na stole wigilijnym nie mogło również zabraknąć słodkich dań. Na południu i wschodzie Polski zawsze musiała być tzw. kutia, którą przygotowywano z kaszy pszennej lub jęczmiennej z dodatkiem maku, miodu i bakalii (suszone i kandyzowane owoce południowe – figi, winogrona, daktyle, migdały, orzechy). W innych regionach podawano natomiast kluski z makiem. Do tradycji wigilijnej należy też podawanie świątecznych ciast: strucli z makiem, keksów oraz różnego rodzaju pierników i pierniczków. W niektórych regionach Polski przygotowywano także kisiel z żurawin.

Wigierzę kończą zazwyczaj bakalie: owoce południowe i orzechy – laskowe i włoskie. Głównym napojem jest kompot z

suszonych owoców, przede wszystkim śliwek, jabłek i gruszek.

Wigilijne wierzenia ludowe

W wigilijną noc pod śniegiem zieleni się trawa, w lesie zakwita paproć, zwierzęta rozmawiają ludzkim głosem, a woda w studniach zmienia się w miód lub wino – powiadają stare wierzenia ludowe.

Według niektórych wierzeń, przebieg Wigilii może mieć wpływ na cały nadchodzący rok, dlatego należy zastosować się tego dnia do licznych zakazów i nakazów.

Aby w następnych miesiącach zachować dobre samopoczucie i energię, w Wigilię należało wstać wcześniej rano i umyć się w rzece lub w strumieniu. Mimo obowiązującego postu, pozwalano sobie na kromkę chleba maczanego w miodzie i odrobinę wódki, by w ciągu całego roku nie brakowało jedzenia i picia. Nie wolno było niczego pożyczać, bo groziło to utratą mienia; nie zawadziła natomiast drobna kradzież – miała zapewniać powodzenie w handlowych przedsięwzięciach.

Powszechna była wiara, że dusze zmarłych mogą w Wigilię opuszczać zaświaty i pod różną postacią odwiedzać domy bliskich. Stawiano więc dla niespodziewanych gości dodatkowe nakrycie, pozostawiano dla nich resztki potraw z wigilijnej wigierzy i nie mytą zastawę na stole. Na wszelki wypadek dmuchano na krzesło zanim się na nim usiadło i szeptem przeproszano mogącą tam odpoczywać duszę. Aby nie przestraszyć, ani nie zranić duchów, nie wolno było płuć, wylewać pomyj, rąbać drzew, prząść ani szyć.

Pełna cudów – według ludowych wierzeń – była wigilijna noc, bo cała ziemia i wszechświat łączyły się, by wspólnie uczcić narodziny Chrystusa. Wierzono, że ziemia otwiera się i pokazuje swe skarby, w sadach drzewa okrywają się kwiatami i natychmiast wydają owoce, zwierzęta leśne budzą się z zimowego snu, a bydło, przed wiekami obecne przy narodzinach Jezusa, o północy na chwilę klęka przy swych żłobach.

Niewiele jednak mogło ujrzyć te cuda, bo były one dostępne tylko ludziom bez grzechu, o prawym charakterze i niezwyklej odwadze. Nie było też śmiazków, chętnych do podsłuchiwania nocnych rozmów zwierząt – legendy głosiły bowiem, że mogą one przepowiedzieć śmierć gospodarzy lub członków rodziny.

Boże Narodzenie jest obchodzone od VI wieku, lecz poprzedzający je dzień wigilijny zaczęto świętować dopiero dwa stulecia później. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa termin tych świąt był ruchomy. Ostatecznie za najważniejszy do obchodów narodzenia Chrystusa uznano czas przesilenia słonecznego – święto obchodzone również w kulturze antycznej, perskiej i egipskiej.

Prezenty – dawniej i dziś

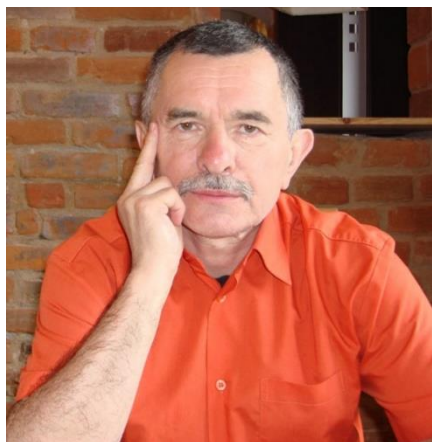
Bożonarodzeniowy zwyczaj obdarowywania się prezentami pod choinką pojawił się dopiero w połowie XIX wieku, ale szybko stał

(Dokończenie na stronie 24)

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (57)

(fragmenty)



Pierwsze październikowe chłody. Niepokojące wiadomości o kłopotach z kręgosłupem mojej bliskiej znajomej.

Wczoraj dowiedziałem się, że są dobre prognozy.

Przyjemność powrotu do siebie, do akwarium mieszkania na czwartym piętrze, do książek (dziennik Anais Nin), do zapisków, do ciepłego kręgu lampy, do skupienia. Powrót z czterech stron świata, z zieleni, słońca, przestrzeni, nieba, wody, żywiołów, tęsknot nie wiadomo za czym, rozjazdów, rozproszenia, bo lato rozprasza...

Było mnie wielu, pokawałkowanych; teraz jestem znowu całością. Sobota. Wczoraj wybieram się do filharmonii na muzykę barokową Haendla i Vivaldiego. Pożytki z deszczu i przytulnego parasola.

Zespół „Collegium 1704” z Pragi z dyrygentem Włochem Andriej Marconem i mezzosopranistką Magdaleną Kożeną na dziedzinie. Płynęli dostojnie na gondoli barokowej muzyki, wiosłując skrzypcami, fagotem, fletem i wiolonczelami.

Nie samym chlebem

Pokrzepiający film w telewizji o polskim wynalazcy z Kowar Śląskich, który kilkanaście lat temu zaprojektował barierkę amortyzującą uderzenie samochodu, bo przenoszącą całą siłę uderzenia na koła i przerzutnie. Racjonalizator nie znalazł uznania u naukowców, ale zainteresował swoim wynalazkiem wielką zagraniczną firmę, której menedżerowie zaproponowali Polakowi ileś milionów dolarów za zakupienie licencji na wynalazek. Warunek był jeden... Polak ma zapomnieć o swoim projekcie. To oni zajmą się jego realizacją.

– No i co – pyta dziennikarz – zgodził się pan? Przecież to ogromne pieniądze!

– Oczywiście nie zgodziłem się. Jak to sobie pan wyobraża?! Przecież ten projekt to praca moich kilkunastu lat. Temu

wynalazkowi poświęciłem wiele dni i nocy... Zapomnieć!? To byłoby zaprzeczenie sensu mojej egzystencji.

Przyszła mi w tym momencie do głowy absurdalna myśl, że gdyby mi ktoś, powodowany jakimś przedziwnym kaprysem, zaproponował równie duże, a nawet największe pieniądze (cuda się zdarzają), pod warunkiem że zapomnę o wszystkich moich tomikach i książkach, czyli wykreślę je z życia, to też pewnie bym się nie zgodził. I wcale nie byłby to taki wielki heroizm.

A więc jednak rzeczywiście nie samym chlebem człowiek żyje, choć w czasach kapitalistycznych ma się takie złudzenie, a sprawozdawcy sportowi zamiast relacjonować mecze, które czasem lubię oglądać, rozwodzą się z entuzjazmem o milionowych transferach piłkarskich, przeżywając przy tym nieomal transferowy orgazm.

Polska i Europa

Fragmencik wywiadu zatytułowanego „Kula u nogi, skrzydła u ramion”, którego udzielił mi Iwone Lompert z Norymbergii, przygotowującej w Niemczech książkę rozmów z polskimi i niemieckimi ludźmi kultury:

– „Co jest, zdaniem pana, czynnikiem łączącym nas w Europie we wspólnotę? Jeśli spojrzeć na kryterium geograficzne, to jesteśmy zupełnie inną całością niż ta, która wyłania się ze Wspólnoty Europejskiej jako organizacji ekonomicznej czy politycznej. Co według Pana jest tą wspólną dla nas bazą, na którą możemy się wszyscy w Europie powołać?”

– W czasach mojej młodości istniał kanon wielkich pisarzy, których należało znać. Trudno sobie wyobrazić człowieka kulturalnego i wrażliwego, który nie sięgnąłby choć raz do mojego ulubionego Czechowa, do Dostojewskiego, Rilkego, Manna, Dickensa, Szekspira, Gombrowicza, zakazanego Miłosza; kto nie przywołałby paru cytatów czy mądrych zdań z ich książek. Na tej kanwie wspólnych lektur powstawał jakiś wspólny język porozumienia tak zwanych kulturalnych Europejczyków... Ten język zrozumiałych dla wszystkich aluzji, odniesień nie jest już dziś chyba tak żywy, zaczyna być sposobem komunikacji dla nielicznych, odkąd książka drukowana traci na sile oddziaływania i coraz bardziej liczą się informacje obrazkowe i treści przekazywane internetowo. Dzieci wychowywane są w blasku ekranu telewizyjnego i komputerowego. Zdaję sobie sprawę, że to, co mówię, brzmi już dziś jak truizm, banał, ale mimo wszystko powtórzę, iż popkultura amerykańska zalewa niemalże cały świat, a szczególnie – jak to określał złośliwie poeta Rymkiewicz – kraje postkolonialne, do których zalicza także Polskę, z jej kompleksami postkolonialnymi i skłonnościami do naśladowania innych, »lepszych«.

Nasze dusze objadają się w globalnej stółce odpadków, rezygnując z wyrafinowanej kuchni. Mam nawet obawy o to, czy będziemy mogli – na dłuższą metę – utrzymać naszą tożsamość kulturową. Bo z pewnością Polska w dziedzinie kultury o wiele więcej importuje niż eksportuje... Z drugiej strony są to procesy nieuchronne, związane z otwarciem granic, z upadkiem murów...

Co może więc być dziś płaszczem ochronnym dla tożsamości? Bo przecież murem

chińskim się nie odgradzimy od świata i żadna ksenofobia nie ma szans.

Z pewnością podnieść nakłady z ogólnego budżetu na oświatę, kulturę i postawić w większym stopniu na wyższe jakościowo wszechstronne kształcenie się.

Bardzo podoba mi się na przykład inicjatywa na wydziale chemii UJ w Krakowie, gdzie wprowadzono przedmiot: kanon muzyki współczesnej... Im będziemy, jako Polacy, lepiej wykształceni i uzbrojeni w dobre gusta, w pewność siebie wynikającą z wiedzy, tym trudniej będzie nas ugniatać potem w ubitą, globalną masę. Oczywiście ważne jest poznawanie języków obcych (to już się w pokoleniu młodych Polaków dzieje) i przygotowywanie się do odgrywania w Europie roli nie tylko hydraulika. Mam przyjaciela, który jest profesorem na jednym z uniwersytetów amerykańskich i jednocześnie poetą. On mówi, że codziennie walczy o Polskę. Stara się swoją naukową i kulturalną pracą każdego dnia budować dobry wizerunek naszego kraju. Nie chodzi więc o zamykanie się w ciasnych schematach patriotyzmu, ale o otwarcie na świat połączone ze świadomością własnej wartości. I z wiarą, że ma się rzeczywiście coś do zaoferowania. Przecież poezja polska była jeszcze do niedawna uważana za wyjątkową – w Europie i świecie. Kładł nam to do głowy nie tylko Brodski czy Heaney...

Tymczasem obserwuję oznaki niewiary we własne siły i chęć podpierania się obcymi wzorami, co można zauważyć, czytając wiersze młodych poetów zrywających więź z polską tradycją i kalkujących w swoich wierszach mody i wzory amerykańskie...

– Czym dla pana jest poezja?

– Poezji nikomu nie da się nakazać, człowiek rodzi się albo nie – z tą wolnością wewnętrzną, z ukochaniem przestrzeni, z nadatkami wyobraźni i garbem »inności«. Mimo wszystko nie zamieniłbym tej »inności« na żadne skarby świata. Bo jestem pewny, że poeta z wyobraźnią, wrażliwością i z niezależnym myśleniem jest wytwornym arystokratą ducha, bogaczem, choćby był największym »bidakiem«, ba, że wielkość lub małość ludzkiego życia nie jest uzależniona od wielkich czy małych podróży, jakie odbył, od wielkich czy małych stanowisk, jakie zajmuje, lecz

w większym stopniu od skali wrażliwości i wyobraźni, w jakiej potrafi przeżywać każdą chwilę swojego życia”.

Babie lato

Nietypowy początek listopada.

Trzy dni z wnukami Niną i Jasiem w domu Aśki i Hansa w Mogilanach; widoki są tak piękne, że zapierają dech w piersiach. W dole złotolistne ściany lasu i zamglone zarysy Tatr. Nitki babiego lata na łąkach wydają się łąkami telefonicznymi dla polnych stworzeń. Nad głową unoszą się obłoki i pogodne duszyczki bliskich zmarłych, które dobrze nam życzą, wypełniając powietrze spokojem i ufnością. Mówię Ninie, że tegoroczna jesień jest najpiękniejsza w jej ośmioletnim życiu, o czym oczywiście nie wie.

Radość obcowania z dziećmi, z żółtym jak bukowe liście kanarkiem, który wypełnia duży pokój trellami, wizjami i gwiazdami.

cdn.

Sztuka i kosmiczne uniwersum

Janusz „Jutrzenka” Trzebiatowski jest wybitnym malarzem, ale również próbuje swoje doznania estetyczne przełożyć na dyskurs poetycki. Po otwarciu swojego muzeum w Chojnicach opublikował dwa tomiki wierszy: „Continuum. Zapiski I” i „Continuum. Zapiski II”. Obydwa są utrzymane w podobnym klimacie poetyckim, choć drugi poddaje krytyce współczesną duchowość polską.

Poezja zawarta w tych tomikach to przede wszystkim krótkie gnomy, momentami podobne do przewrotnych haiku, ukazujące głównie w odwróconym zwierciadle relacje na poziomie ciała i ducha człowieka. Natomiast doskonałość dzieła inspirowanego takimi związkami cielesno-duchowymi jest wyrazem doskonałości twórcy i jego kreatywnej wolności, podobnej do ducha epikureizmu. Wolność bowiem rozumie autor jako przeciwstawianie się ograniczeniom cielesnym oraz uwalnianie się ducha z ograniczeń własnego ja.

Ważna przy tym jest postawa jednostkowa w rozumieniu względności czasu, ale także eksperymentowanie z głębokością i rozmiarem znaczeń słów w niekończących się grach językowych pomiędzy ludźmi. Kluczem pojmowania znaczeń, np. w sytuacjach międzyludzkich, jest również krytyczny stosunek do postawy romantycznej ludzi. Należy zatem demaskować upubliczniany świat (zamożność żony, wartość samochodów) i ukazywać go z umiarem. Życie bowiem samo z siebie jest poezją, czasem lepszą, czasem gorszą, jeśli w praktyce jego reguły są urzeczywistniane każdego dnia.

Jak sądzi Trzebiatowski – Kosmos to uniwersum sztuki, w którym życie człowieka zaangażowanego jest spełnianiem się i poszukiwaniem nowych znaczeń własnej egzystencji. Z natury nie jest on poznawalny, ale wyrażają go dwa rodzaje światła zawarte w sztuce, zarówno na poziomie materialnym jak i duchowym. Sama sztuka bez wewnętrznego światła, które z niej bije, jest tylko pustą skorupą. Natomiast twórcze życie to trafne odrozdziwienie prawdy od zwykłego kłamstwa – przypomina poeta – a temu zawsze towarzyszą wątpliwości co do umiejętności odróżniania granicy pomiędzy prawdą względną od bezwzględną.

W takiej taoistycznej perspektywie Bóg stanowi „ośmiomiliardową multiplikację” całości ludzkości, zaś sztuka w takim społeczeństwie musi kierować się specyficzną logiką tworzenia, choć trudną do pełnego odkrycia i zdefiniowania. A dzieje się tak dlatego, że człowiek – byt materialno-duchowy – stanowi dwie strony tego samego procesu kreacji jako takiej. Sam z siebie jest przecież „ziarenkiem” w „kosmicznym uniwersum”. chcąc tworzyć, musi dążyć do wyobrażenia niewyobra-

zalnego i „namalować niewidzialne”, co przecież stanowi drogę malarską i poetycką (malowanie farbami słów) krakowskiego artysty, u którego sztuka stanowi poznanie i ekstazę zarazem. Warto więc zwrócić uwagę na te dwa oryginalne wydawnictwa.

prof. Ignacy S. Flut

Janusz Trzebiatowski, *Continuum. Zapiski I i Continuum. Zapiski II*, Chojnice 2019.

Przebudzenie

Mam przed sobą najnowszy zbiorek wierszy **Stefana Jurkowskiego** pt. „Obcy jestem”. Podobnie, jak i w poprzednich tomikach, zwracają w nim uwagę – precyzja i oszczędność słowa, dbałość o klarowność wypowiedzi oraz filozoficzne rozważania, które z indywidualnych doświadczeń, przeżyć, spostrzeżeń wyprowadzają uniwersalne konstatacje i zaskakujące często puenty.

Wiersz „Osamotnienie” z tego zbioru zaczyna się słowami: *noc rozpacz / noc metafizycznej próżni* przywołał zgoła inne obrazy niż nadciągająca ciemność czy przerażenie bądź wędrowka w głąb siebie.

Przed oczami pojawiła mi się ostatnia noc 1980 roku. Był trzaskający mrozem wieczór, kiedy z Krzyśkiem Pysiakiem i jego żoną Basią dotarliśmy do niedużego domku na Bielanych, którego właścicielką była Alicja G. – felietonistka tygodnika „Kierunki” ukrywająca się pod męskim pseudonimem.

Dotarliśmy tam – na nietypowego Sylwestra – zaproszeni przez Stefana, zaprzyjaźnionego z gospodynią. Przywitał nas, mocno zziębniętych, razem z nią w gościnie otwartych drzwiach domu.

Z głębi wnętrza dobiegał głos naszego redakcyjnego kolegi – Kostka Pieńkosza – popularnego wówczas krytyka literackiego, finezyjnego konesera poezji. (Kto dziś tak pochyła się nad wierszem? Kto tak oswaja i przybliża wersy nawet głuchym na melodię i przesłanie utworu czytelnikom?). Mam nadzieję, że Kostek, który wcale nie odszedł od literatury i w Stołecznym Centrum Edukacji Kulturalnej na Starym Mieście prowadzi warsztaty literackie, pojawi się znów w życiu literackim choćby ze swoimi zebranymi, wnikliwymi szkicami krytycznymi i esejami, które miały przed laty wiernych Czytelników na łamach „Literatury” czy „Nowego Wyrazu”.

W ów sylwestrowy wieczór zastaliśmy Kostka przy stoliku z dwoma tomikami w dłoni. Były to Stefana Jurkowskiego – „Równowaga” i „Zagrożenie”, które ukazały się w roku 1980. Nasze przybycie prawdopodobnie przerwało rozmowę krytyka i poety o wierszach zamieszczonych w tych zbiorach. Ale tylko na chwilę. Dyskusja wkrótce wróciła w poetyckie koleiny, podlewana dobrym winem i wzmacniana smacznymi podsuwanymi nam dyskretnie przez panią domu.

W rezultacie – spierając się przyjaźnie –

podsumowaliśmy cały mijający rok poetycki, a kiedy dołączył do naszej grupy prozaik Wiesław Myśliwski, zaczęła się rozmowa o najciekawszych powieściach wydanych w odchodzącym roku. Wtedy pałeczkę przejął Krzysztof Pysiak, krytyk wnikliwie śledzący dokonania współczesnej prozy.

Polana trzaskała w kominku, mróz zostawił swoje ślady na szybach, a temperatura dyskusji była ciągle wysoka. Skoczyła jeszcze, kiedy dołączyli do naszego grona przed północą – Artur Sandauer z żoną Erną Rosenstein (wybitną malarką) i z młodymi Amerykanami. (Sandauerowie prowadzili wtedy w swoim domu na Mokotowie opiniotwórczy, środowy salon literacki).

Nie pamiętam – czy to akurat tej sylwestrowej nocy Krzysztof Pysiak poróżnił się z ówczesnym guru polskiej krytyki literackiej i eseistyki, czy nastąpiło to później, kiedy ich spór przeniósł się na łamy prasy. Klasyczna walka młodych ze starymi – skwitował ich polemiki Ryszard Matuszewski, historyk literatury, krytyk, autor podręczników licealnych – kiedy przeprowadzałam z nim wywiad.

Wróćmy jeszcze do tej nocy, którą przywołał wspomniany na początku wiersz Stefana Jurkowskiego i do dyskusji, która toczyła się pod „znakiem” Stefanowych zbiorów, przerwana tylko z wybieciem północy na norwocenne życzenia i toasty.

Tworzenie, autotematyzm (termin ten wprowadził do krytyki literackiej właśnie Artur Sandauer) i wiersze Stefana Jurkowskiego były w centrum uwagi w tę noc metafizyczną na pewno, ale mimo niepokoju w kraju, daleką od rozpacz i pustki, za to roziskrzoną nadzieją na zmiany...

Autotematyzm odnajdziemy i w najnowszym zbiorze Stefana Jurkowskiego. Wystarczy przywołać wiersze – „Wśród poetów”, „Pożądanie ciszy” czy „xxx (poeto, który istniejesz bardziej ode mnie)”. Poezja, pisanie, metafory, twórczość to tematy ciągle go nurtujące. Podobnie jak zgłębianie świata widzialnego i duchowego, jak zapisywanie człowieczego losu, doznań, emocji, uczuć i doświadczeń. Czasem z ironicznym dystansem, czasem z nostalgicznym zatrzymaniem obrazu w kadrze pamięci.

Życie nas jeszcze żyje wyznaje podmiot liryczny w wierszu „Do czasu” zamieszczonym w tomiku „Obcy jestem” i *istniejemy – póki / jesteśmy potrzebni*, oznajmia ironicznie.

Egzystencjalne stwierdzenia, egzystencjalne pytania, jakie twórca stawia sobie i czytelnikom, sprawiają, że idziemy *po śladach*, że *otwierają się w nas obrazy osobne*, lecz mimo to *widzimy wszędzie siebie* (wiersz „Równowaga”).

Stefan Jurkowski zaprasza nas do przechadzki po śladach zewnętrznych, ale równocześnie i w głąb siebie. Konfrontuje nas również z taflą lustra. Chce, by czytelnik spojrział wnikliwiej na otaczający go świat; by przyjrzał się emocjom i przywołanym, rozpisany na wersy sytuacjom i zdarzeniom; by zderzył się z ulotnością, samotnością i przemijaniem; z wewnętrzną szamotaniną i nieustannym poszukiwaniem – równowagi, siebie, boga

(Dokończenie na stronie 18)

Przebudzenie

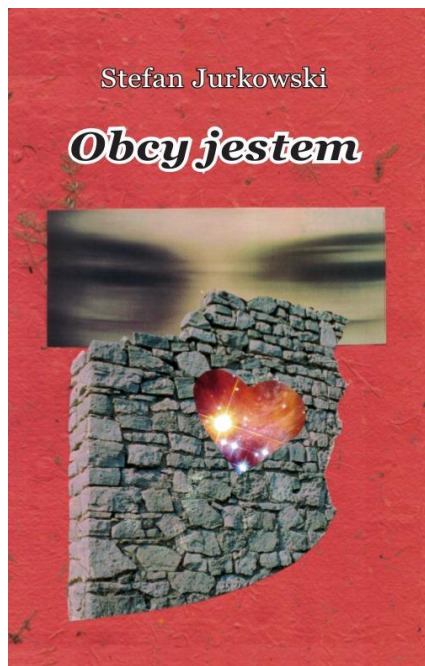
(Dokończenie ze strony 17)

wreszcie, świat przedstawiany przez podmiot liryczny budzi to zachwyt, to rozczarowanie; rodzi pytania i refleksje, czasem protest, zwłaszcza, kiedy uderza ostrzem ironii, ale równocześnie sprawia, że *wyplątujemy się z samych siebie*, zrywamy maski i gorsety, budzimy się i *odchodzimy od samych siebie* szukając swojej drogi i sensu istnienia.

Wtedy pojawia się dojmujące poczucie obcości i osamotnienia, a często następuje bolesne i gwałtowne przebudzenie, doskwierające jak drzazga, która przeistacza się w gałązkę pulsującą sokami życia.

Ale to właśnie przebudzenie (czytaj: zmartwychwstanie) uświadamia podmiotowi lirycznemu tych wersów, że ocalić nas (jego) może tylko miłość: *śpiesz miłości / bo tylko w tobie / jest siła mojego zmartwychwstania* – wyznaje w wierszu „Wśród poetów”.

Rena Marciniak-Kosmowska



Stefan Jurkowski, *Obcy jestem*. Redaktor: Stanisław Nyczaj. Opracowanie typograficzne, projekt okładki oraz kolaże: Irena Nyczaj. Opracowanie komputerowe: Paweł Nyczaj. Zdjęcie autora: Maria Gibała. Oficyna Wydawnicza STON 2, Kielce 2020, s. 98.

„Zmyślenia” Elizy Segiet

„Zmyślenia” to zbiór krótkich form, w których **Eliza Segiet** przygląda się człowiekowi zagubionemu, poszukującemu, dręczonemu, wykluczonemu.

Te opowiadania mówią przede wszystkim o odmienności, poczuciu inności bohaterów, wypływającemu z ich tożsamości oraz o dążeniu do zaspokojenia pragnień, mimo przeciwności losu.

Ciekawie „zmyśliła” sobie ten tom opowiadań autorka – to jakby jedna obszerna opowieść o człowieku w ogóle, od jego dziecięcych marzeń, przez wkraczanie w dorosłość, osvajanie się z własną tożsamością, budowanie jej, akceptacja siebie, aż po problemy rodzinne (tu: szczególnie małżeńskie), samotność starszych osób, lęk przed chorobą i śmiercią.

Bohaterka „Sensacji” zmagą się z alkoholizmem męża. Zwierza się księdzu, szukając u niego pociechy i konkretnej porady. To prowokuje pytania o ludzkie więzy, o cierpienie i tkwienie w toksycznym związku, o strachu przed odejściem (bo ślub, bo rodzina, bo presja społeczna itd.). Pisarka idzie jeszcze dalej, zastanawiając się jaki sens ma życie dla kogoś i dla czegoś, w niezgodzie z własnymi potrzebami i pragnieniami.

Narratorka „Apteki zaufania” skarży się na samotność, została porzuconą matką – *jestem już jak zbędny przedmiot, jak przypalony garnek albo stara pralka*. Dorosłe dzieci żyją wyłącznie swoimi sprawami, zapominając o staruszce, która ledwie przedzie (kupi lekarstwa *na zeszły*). I choć kobieta narzeka na problemy finansowe, to jednak najbardziej doskwiera jej brak drugiej osoby. Gdy los się do niej uśmiecha i może mieć wszystko – dalej tęskni jedynie za miłością.

W „Zmyśleniach” pisarka oddaje głos swoim postaciom (narracja pierwszoosobowa i dialogi). Tu każdy sam opowie o tym, co go najbardziej trapi, z czym sobie nie radzi, co mu się przydarza w związku np. z jego odmiennością. Co ciekawe, to nie tylko ludzka perspektywa. Segiet zaskakuje nas narracją psa czy mitycznego elfa. To oczywiście swoje maski, w zwierzeniach tych nietypowych bohaterów spotkamy nasze własne bóle – niemożność wyjścia poza schemat bez bolesnych konsekwencji, niezgoda na przemoc, poszukiwanie bliskości i zrozumienia oraz potrzeba miłości.

Bohaterowie szukają i często znajdują, ale nie prowadzi ich do spełnienia, oto szybko okazuje się, że najczęściej mylą miłość z pożądaniem. Czasem jednak samotność tak doskwiera, że ludzie godzą się nawet na namiastkę uczucia, oszukują sami siebie, stwarzają iluzję. W kilku opowiadaniach pojawia się motyw zdrady, a w ślad za nią idzie i zemsta. Poznajemy dwie perspektywy takiej sytuacji – emocje osoby zdradzanej i zdradzającej. Los w świecie literackim Segiet bywa przewrotny i często nagradza lub karze w sposób nieprzewidywalny. Czasem jednak to postacie na własną rękę wymierzają sprawiedliwość, jak w niemal sensacyjnej opowieści – „Oldze”, która niejednokrotnie zaskoczy czytelnika.

Podobnie dzieje się w „Dewiancie” – jeden z bohaterów uważa się za *wysłannika*, który musi *niszczyć zło w złązkę*. W jego opinii złem jest homoseksualizm. Segiet dobitnie pokazuje jak wiele w ludziach głupoty i pychy, ile

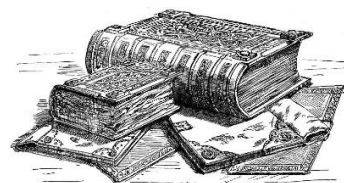
uprzedzeń i strachu, które biorą się z niewiedzy, nieczułości, przekonania o wyższości swoich racji nad innymi.

W tle swoich opowiadań Segiet zwraca uwagę na rozmaite problemy współczesności. Mówi m.in. o szalonym pędzie naszych czasów, o konsumpcjonizmie i potrzebie posiadania coraz więcej, tylko po to, by móc postawić siebie wyżej nad tymi, co nie mają wiele. O naturze, która raz na jakiś czas pokazuje nam swoją siłę. O relacji ze światem – z przyrodą, zwierzętami, ludźmi i samym sobą. O rozterkach artystów poszukujących inspiracji, nowych bodźców i umiejętności opisania własnych emocji. Czytelników, którym spodobą się „Ksantypa”, odsyłam do książki Elizy Segiet – „Tandem”, gdzie to właśnie opowiadanie stało się inspiracją do napisania farsy. Gdy przyjrzymy się tęsknotom i pragnieniom bohaterów „Zmyślenia” zauważymy, co jest najważniejsze dla człowieka – miłość, akceptacja, bliskość, wolność. Jednak nie wszyscy mogą spełnić swoje marzenia, zaspokoić potrzeby. Wielu z bohaterów miota się w poczuciu bezsilności, zagubienia, wewnętrznego chaosu i lęku.

W „Zmyśleniach” dominują lekkość pióra Segiet oraz humor, które są charakterystyczne dla jej prozy oraz całkiem poważne tematy, zwykle będące tabu. Z odwagą, empatią i wnikliwością pisarka spogląda na drugiego człowieka, szczególnie tego, który z jakiegoś powodu nie może żyć w pełni. Każde opowiadanie zbudowane zostało wokół innego pomysłu. Czasem bazą jest humorystyczna scenka, czasem filozoficzny dialog (lub monolog) lub też zdarzenia pełne grozy. W „Zmyśleniach” występują ludzie z naszego otoczenia – nastolatka pragnąca akceptacji, homofob, gej ukrywający się przed niezrozumieniem, kochanka, niewierny mąż, zdradzana żona planująca zemstę doskonałą, chłopiec marzący o przygodzie, samotna kobieta, pisarz szukający inspiracji, poeta-erotoman (pojawia się też pies oraz byty abstrakcyjne). Bo to właśnie tu tkwi siła tych opowiadań – są prawdziwe, naturalne. Niekiedy Segiet przerysowuje pewne sytuacje, ukazuje karykatury, czasem wiele ukrywa pod maską humoru. Jednak zawsze w centrum stawia człowieka i jego sprawy. Nie znajdziemy tu ani hołdów, ani manifestów czy nawoływań – to po prostu scenki z życia, skłaniające do refleksji, do uśmiechu, czasem wzburzenia. Mające wywołać emocje i zatrzymać choć na chwilę. *Zmyślenia* powstałe z myślenia, z obserwacji, z troski.

Kinga Młynarska

* Opowiadanie „Prześwity” ukazało się także jako osobna książka – monodram, zawierający teksty liryczne (piosenki-wiersze) – recenzja.



Przypomnienia Pawlickiego

(Dokończenie ze strony 9)

*Mgła – za mgłą księżyc
a ja wszedłem w kałużę
zwodne są drogi*

Pamiętam, będąc małym chłopcem, jechałem z tatą furmanką zaprzęzoną w gniadego konia. W gęstej jak mleko mgłę. Koń szedł pewnie, co było dziwne. Kiedy gwałtownie mgła opadła, widok wydał się obcy. Nie przypomniał znanego mi terenu. Babcią powiadały: świat nakryły skrzydła łabędzia. To przeświadczenie starych kobiet potwierdza liryk autora esejów.

*Z modrzewiowej mgły wypłynął bezszelestnie
Symbol owej mgły –
Łabędź*

Mgła – wrota otchłani – w butach symbolu wolności. Jeszcze niedawno na obszarach wiejskich naszego kraju buty zakładano tylko do urzędów i kościoła. Były jak i zegarek wyznacznikiem zamożności. Kto miał buty zawsze na nogach parł do celu. Nie bacząc na płoty, mury, szlabany, sterty kamieni. Oddzielające domostwo od domostwa, człowieka od człowieka. Tej wolności zakodowanej w człowieku nic nie jest w stanie wypłenić. Otchłani i buty to symbol.

Żywi nie mają wpływu na losy zmarłych? Możemy przypomnieć o nich w wspominkach: „(...) człowiek po swej śmierci tak długo jakby istnieje / żyje, jak długo trwa o nim pamięć”. Mnie na myśl jednak nasuwa się coś innego. Mianowicie ramy historyczne, w jakich żyć przyszło zmarłemu. Dziadek mój Teofil urodzony w 1897 roku przeżył zabór rosyjski, kształtowanie się niepodległości państwa polskiego z wojnami o jego granice, Polskę sanacyjną, dwie wojny światowe. I terror komunizmu – zmarł bowiem w 1954 roku. Nie doczekał się nawet odwilży. Wielokrotnie powoływany był pod broń. Ranny i zaginiony. Żył tylko 57 lat, a wydarzeniami można oddzielić pokolenia. Grób jego jest taki sam jak setki zmarłych wcześniej i później. Tylko te wspominki w kościele przywołują pamięć o dziadku. I innych zmarłych uszanowanych przez rodziny, znajomych. A co z tymi, o których nikt nie pamięta? Nie wiemy nic o tym samym świecie. Podobno dotarli – będąc żywymi – do krainy zmarłych.

Wierzę, że i nam znana będzie przyszłość. Ale co wtedy z sensem życia?

Jerzy Stasiewicz

Dariusz Pawlicki, *Przypomnienia 10 esejów & szkiców*. EIKON Wrocław 2019, s. 118.

Wizerunki zbliżeń

Po siedmiu latach od ukazania się „Światła pamięci” Mirosława Prywer zaprezentowała swoim czytelnikom w 2018 roku tom poetycki pod zaskakującym tytułem „Mój mały wielki kosmos”. Ta „przerwa” jest dowodem jej pisarskiej dojrzałości, ważnej, nie tylko dla twórcy, ale także i dla odbiorcy. W tym czasie wszechpoteżnego pośpiechu, często niczym nieuzasadnionego, niezwykle ważny jest moment zatrzymania się, pauzy, zamyślenia, refleksji, wątpliwości – potwierdzających autentyczność człowieka, tożsamość jego osoby.

Autorka przywołuje pełen przygód czas licznych wędrówek i to nie tylko po Polsce. Wszak Mirosława Prywer to zapalona turystka, co potwierdzają uzyskane bardzo liczne odznaki turystyczne, między innymi Złota Odznaka „Zasłużony w pracy PTTK wśród młodzieży”, Honorowa Odznaka „Za rozwój turystyki i krajoznawstwa” (1981).

Ma o tych swoich dokonaniach dobrą pamięć: *Zanurzyć się w pieniński dywan...z przestrzeni pełnej tajemnic / wyzwolić strumień słów* (wiersz „Marzenie”). Wystarczy być w Ogrodzie Botanicznym UAM by przywołać zwiedzane góry: *klaniają się Tatry / Alpy i Pireneje / Góry Skaliste / nawet Himalaje* (wiersz „Alpinarium”).

Współczesnemu człowiekowi potrzebny jest spokój i cisza, w której może usłyszeć siebie, na przekór panującemu zgłębieniu, często bezmyślnemu. Bardzo chętnie, dla ukojenia, patrzymy w niebo, nie boimy się: nie spadnie ono na naszą Ziemię. Szczególnie rozgwieżdżone w sierpniu, którego piękno nie tylko mógł podziwiać Immanuel Kant. Tu znajdujemy nauczycielkę fizyki (wieloletnią w zasłużonym II Liceum Ogólnokształcącym w Poznaniu). Nauczanie fizyki łączone było z astronomią. Autorka swą wiedzę z astronomii pogłębiała przygotowując się do zajęć z młodzieżą. Tak młodzieńcza fascynacja Kosmosem u autorki recenzowanej książki rosta: *Poza orbitą / jak w Pasie Kuipera / krąży płatanina / wspomnień i oczekiwań* (wiersz „Zdażyć przed zmierzchem”).

Kosmos ze swoją nieskończonością jawi się jak wielka / wyjątkowa tajemnica. Patrząc wysoko odnajdujemy prawdziwość twierdzenia z geometrii nieeuklidesowej: równoległe w nieprzebytej dali (a więc w Kosmosie) przecinają się – jakie zdumiewające przybliżenie teorii matematycznej.

Meteory, to oswajanie przestrzeni kosmicznej, poetycko nazwane: *Skąły / jakby zawieszony w powietrzu / w środku nieba / podziurawione jaskiniami* (wiersz „Greckie Meteory”). Tajemnicą są „Łzy Świętego Wawrzyńca”: *Jego łzy / wspadają w atmosferę / a ludzie mówią / że to spadają gwiazdy*. W wierszu „Ataki na Ziemię” czytamy: *Tylko wielkie bolidy / uderzą w powierzchnię / mogą nawet wyrwać / głęboki krater i / nieść spustoszenie*. Poznań jest wyjątkowo wyróżniony największym w Polsce Meteoritem Morasko.

Ktoś trafnie powiedział: Jesteśmy mądrzejsi o pytania – zaczynają wiedzę. I te

nieustające człowiecze problemy / wątpliwości: Co jest tam wyżej? Mieszkańcy Ziemi zdolali dotrzeć do Księżyca (naszego satelity), próbujemy znaleźć życie – wodę na Marsie (najbliższej Czerwonej Planecie). Skąd pochodzą cząstki materii wdzierające się do naszej atmosfery? *Czasem nieboskłon przecinają / ukośnie świeczące znaki* (wiersz „Pytania”).

Autorkę interesuje dosłownie cały otaczający świat, mikrokosmos w tym biologiczny a także fizyczny. Owady te różnorodne i rozliczne gatunki, cudownie kolorowe, często potwierdzające czystość środowiska naturalnego jak np. motyle.

A jakże, jest też bliski „mały” Kosmos – to ratajskie mieszkanie na ósmym piętrze z codziennym widokiem na wierną rzekę i Poznań, stolicę pierwotnej Krainy Polan: *Pełnia oddechu powróci / gdy słowiki trelami / napętnią nadwarciańską wiklinę / a lilaki zaczną nozdrza* (wiersz „Na prawym brzegu Warty”); *nieśmiały przebieśnie / wychyla się spod śniegu / na rabatach szaleją przylaszczki / pierwiosniki i krokusy* (wiersz „Wiosenny poranek”); *Mgielna otulina / stroi drzewa w diamenty* (wiersz „Sen”).

I wreszcie ten mały – najbliższy, zdawać się może naprawdę wielki Kosmos (czego potwierdzenie znajdujemy w tytule tomu): *tylko moje wnuki / dwa słoneczka / rozjaśniają myśli* (wiersz „Kolory”); *W mojej galaktyce / pojawiły się dwie małe planety / Tymek i Pawełek* (wiersz „Gwiazdy podwójne”); *Oczy dziecka / to otwarte księgi / W nich nawet Kosmos / wydaje się mały* (wiersz „Oczy dziecka”).

Mirosława Prywer jest spokojliwie otwarta na bliźniego. Doskonale wie, że zauważony bliski drugi człowiek to więcej niż ludzkość, czy cały świat. Ma niezamknięte, głębokie serce. Jest w tej książce miejsce dla pamięci o starszym bracie Stefanie: *Oniemiały klawisz organów / gdy mały chłopiec / wspiął się na kolana ojca / i z całą mocą swych piątek / uderzył* (wiersz „Wirtuoz”).

Wzruszający wiersz „Pożegnanie” jest przywołaniem trzydziestosiedmioletniego zięcia Łukasza, który zginął jadąc rowerem: *Jego serce / bije w klatce innego człowieka / nerki i wątroba / uratowały komuś życie / Pozostały nasze łzy / bezsilne ręce / i serca / ściśnięte bólem*.

Autorka nie aprobuje współczesnej cywilizacji, niszczącej wartości humanistyczne sprawowane przez wieki: *Staczasz się w otchłani / akceptując rozrastanie / macek przemocy i nienawiści* (wiersz „Bunt”); *młodzi popieszyli / w dwudziesty pierwszy wiek / szukają swego miejsca / w świecie iluzji i masek* (wiersz „W Ostrorogu”).

Jakże bliska jest autorka powiedzeniu Antoniego Słonimskiego: „Człowiek wstając rano, zakłada portki i maskę” (która w czasie panującej pandemii „zyskała” jeszcze inny kontekst). W recenzowanej książce znaleźć można przesłania ekologiczne, mówiące o potrzebie zbliżenia się / zauważenia niezbędnego dla niej szacunku: *posłuchaj pieśni Ziemi / a słowa zbudzą się z kamiennego snu* (wiersz Odpowiedź”).

Wrażenia ze szczególnych spotkań autorskich na Ziemi Konińskiej zawarła w „Koniń-

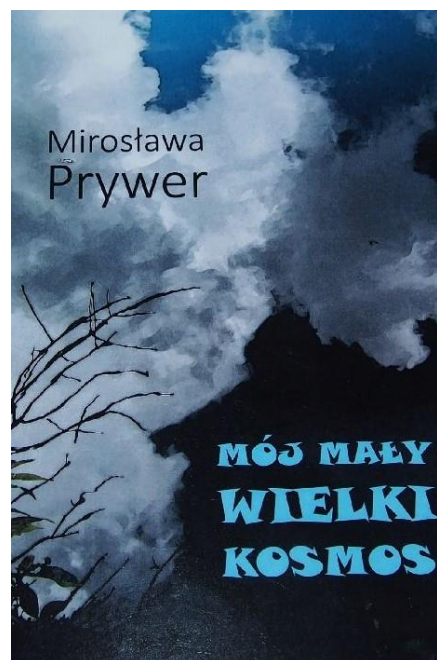
skich reminiscencjach": *Wielkie to szczęście trafić / do serc zasłuchanych ludzi.*

Wzruszający obraz wdzięczności za Bożą obecność w życiu autorki ukazują strofy „Podziękowania”: *Ziarna marzeń podlewane / Twoją Boże miłością / wyrosły pod obłoki... ci-cho dziękuję za mój czas na Ziemi; W bocznej nawie / ikona Matki Bożej / zanieś swój ból / Mistrzyni Pocieszenia (wiersz „Kolegiata”).*

Lektura książki przynosi refleksję: Człowiek obcuje w dwóch kosmosach, a może inaczej: z dwoma kosmosami bliskim małym i dalekim wielkim / nieodgadnionym. Wiersze pomieszczone w tomie uznawają nam, że ważniejszym dla człowieka jest ten mały kosmos, w którym żyjemy, uczymy się, pracujemy, kochamy, radujemy się a także cierpimy.

Okładka oraz grafiki autorstwa Marii Magdaleny Poczaj dopełniają treści zawarte w książce.

Paweł Kuszczyński



Mirosława Prywer, *Mój mały wielki Kosmos*. Wydawnictwo BONAMI, Poznań 2018, s. 79.

Z powieściami jest jak z jedzeniem

W lipcu 2020 roku miałam przyjemność otrzymać najnowszą książkę **Wiesława Hopa** pt. „Długa noc”. Spotkanie z dziełem pisarza okazało się dla mnie niezwykle ciekawą i wymagającą podróżą. Tym bardziej, że czytałam już dwie pozycje z jego twórczości, tj. „O

północy w Bieszczadach” i „Przed wyrokiem”. Czytałam też opowiadania pisarza publikowane w naszym czasopiśmie „Kurier Białowski”. Jestem wdzięczna panu Wiesławowi, że znajduje czas dla naszego czasopisma mając tyle innych obowiązków.

Podróż, którą rozpoczęłam razem z bohaterami powieści, okazała się dla mnie ciekawą przygodą w Bieszczadach. Byłam tam wielokrotnie, ale dałam się urzec opisom Wiesława Hopa – Bieszczady są piękne w każdej odśrobie.

Sięgając po książkę „Długa noc” miałam nadzieję, a nawet pewność, że okaże się dla mnie pasjonującą lekturą, podobnie jak poprzednie książki.

A oto w dużym skrócie treść powieści.

Agnieszka Drozd – atrakcyjna maturzystka – jest zakochana w starszym od niej, tajemniczym mężczyźnie, który nosi dziwne nazwisko Andrzej Dżoń. Dziewczyna zdała maturę i dostała się na wymarzoną medycynę. Ale jej rodzice są przeciwni tej znajomości. Na tym tle pomiędzy matką i córką dochodzi do kłótni. Kilka dni później, gdy Agnieszka wyjeżdża w Bieszczady, rodzice zaniepokojeni brakiem kontaktu z córką wynajmują prywatnego detektywa, Józefa Biesiadę, aby odnalazł dziewczynę i sprowadził do domu. Biesiada dowiaduje się, że Andrzej Dżoń to były przestępca z gangu Brzytwy z Wołomina, który ostatnie lata spędził w kryminale. Ustala, że oboje z Agnieszką przebywają w hotelu w Polańczyku, ale gdy tam dociera, okazuje się, że Agnieszka została porwana, a Dżoń w nocy opuścił hotel w wielkim wzburzeniu. W Zielonej Polanie – leśnej posiadłości biznesmena z Sanoka – Biesiada odkrywa zwłoki dwóch mężczyzn oraz ślady, sugerujące, że mogła tam być przetrzymywana Agnieszka. Te informacje można przeczytać na okładce książki. Biorę książkę do ręki i zwracam uwagę na interesującą okładkę, która nawiązuje do treści kryminału. Twarz kobiety jest tajemnicza, skryta w cieniu. Zapowiada to mroczny charakter powieści.

Książka podzielona jest na 45 rozdziałów, które czyta się lekko, aczkolwiek każdy rozdział trzyma w napięciu.

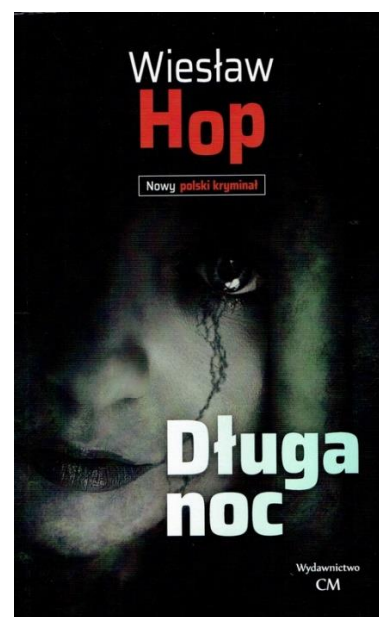
Jeśli chodzi o bohaterów, żadna postać nie jest tuzinkowa, mdła czy nudna. Józef Biesiada to były policjant, obecnie detektyw. Z policji wyleciał, bo wszedł w drogę nieuczciwemu adwokatowi zajmującemu się odzyskiwaniem kamienic. Macki Łakomego sięgały daleko. Na tyle skutecznie, że Biesiada został zmuszony do rezygnacji z pracy w policji. A wcześniej siedział w areszcie, skąd pomógł mu się wydostać przyjaciel Zygmunt, też policjant. Agnieszka – maturzystka pełna entuzjazmu i ufna niczym pierwsza naiwna z operetki. Zakochana w Andrzeju pierwszą, młodzieńczą miłością. Tak silną, że pragnęła zginąć razem z nim. Andrzej Dżoń – kryminalista, w którym miłość do dziewczyny wyzwoliła ludzkie cechy. To postać niejednoznaczna, nie wiadomo czy rzeczywiście zginął, czy to tylko realizowany jest kolejny plan policji. Rzadko się jednak zdarza, aby zadeklarowany bandzior budził sympatię czytelnika. Współczuję mu, bo jego los jest z góry przesądzony. Czy zginie w

momencie, gdy doświadczył szczęścia? Wychojąc z więzienia pragnął zerwać z przeszłością. Czy w zamian za przywilej życia będzie pionkiem w rękach policji? Żadne z tych wyjść nie jest dobre. To zasługa autora, że Andrzeja można polubić i darować mu przeżyłość. Ten zatwardziały bandyta budzi sympatię, bo miłość do dziewczyny go nobilituje. Skoro jest w stanie kochać, nie może być do końca zły. Jest jeszcze dziewczyna Józefa Biesiady, Marysia, nauczycielka, mentalnie najbardziej przypominająca Sienkiewiczowską Marynię Połaniecką. To kobieta, o jakiej marzy większość mężczyzn – piękna, pewna, lojalna, kochająca. Grozę budzi przerażający, bezwzględny bandzior Brzytwa. To uosobienie zła i występku, nie budzi cienia sympatii, a wręcz odrazę. Sprawność warsztatowa Wiesława Hopa sprawia, że do Brzytwy można poczuć jedynie antypatię. Jego śmierć jest w pełni zasłużona, choć nie nam sądzić. Przez rozdziały przewijają się postaci złych i dobrych policjantów. Zdarzają się skorumpowani i przekupni, bywają tacy jak Zygmunt – idealści, zwolennicy złotego środka. Józef z przyjaciół Zygmunt wiodą dysputy filozoficzne, co środowisko policjantów zdecydowanie nobilituje – orientują się w Biblii i filozofii. W rzeczywistości policjanci częściej bywają kojarzeni z dowcipami o gamoniowatych stróżach prawa niż z Horacym.

Książka trzyma w napięciu. Akcja toczy się w pięknym krajobrazie bieszczadzkim, który zdaje się zaprzeczać temu, że w takim urokliwym miejscu istnieje zbrodnia i występki.

„Długa noc” to świetnie napisany kryminał. Zgadza się z autorem, który twierdzi: (...) „z powieściami jest podobnie jak z jedzeniem: albo jest dobrze przyrządzone i smaczne, albo nie. Nie można więc do tego dobudowywać żadnych, zaciemniających wszystko teorii naukowych”.

Danuta Heller



Wiesław Hop, „Długa noc”. Wydawnictwo CM 2020.

Filozofia codziennosci prof. Marii Szyszkowskiej (170)

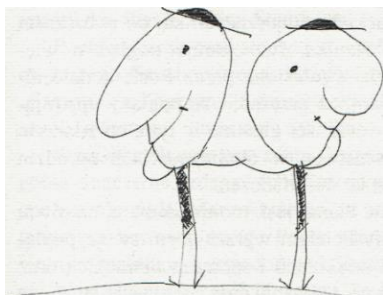


Fot. Andrzej Dębowski

Stanisława Stanika niepokoi brak inspiracji w życiu jednostek, które zamykają się w kręgu codziennych doznań. Betonowe miasta napawają podmiot liryczny jego wierszy głębokim lękiem. Myślę, że holizm, czyli pogląd o jedności wszechrzeczy, a więc, poczucie więzi nie tylko z przyrodą, ale także braterstwo z nieznanymi sobie osobami jest bliskie Stanisławowi Stanikowi.

Poeta zafascynował się życiem wielkiego twórcy Jerzego Szaniawskiego. Książka o jego życiu „Samotnik z Zegrzynka” zajmuje wyjątkowe miejsce w twórczości Stanisława Stanika.

Stanisław Stanik przyznaje doznaniom szczególne znaczenie, zdając sobie sprawę z tego, że one nas nie mylą. Mam wrażenie, że poszukiwanie prawdy skierowuje uwagę Poety właśnie ku pierwotnym wrażeniom zmysłowym. Skazany na trwanie w bezdusznym mieście, tęskni do łąk, do wsi, wzbudzając w czytelniku swojej poezji głębokie refleksje.



Rys. Jan Stepien

Mam wrażenie, że stara się powiedzieć, iż o wiele więcej zależy od siły woli człowieka niż nam się to wydaje. Istotne znaczenie przypisuje wewnętrznej harmonii, czyli zgodności ze sobą.

Rozważania o twórczości Stanisława Stanika mogłam być zatytułować „Poeta w drodze”. Mam na myśli to, że ten Autor kilkunastu tomików wierszy, książek, publikacji w wielu pismach, nagradzany wielokrotnie znaczącymi nagrodami literackimi, nie ustaje w poszukiwaniach. Nie wiem czy szuka bardziej nowego wyrazu dla świata własnych doznań

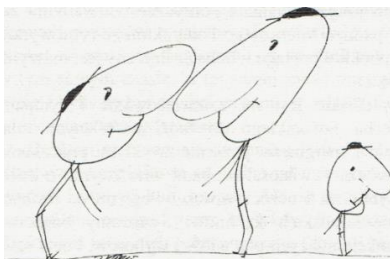
przeżyć i przemyśleć – czy raczej drogowskazów dla własnego życia, penetrując stan swojej świadomości, przeżyć i doznać.

Twórca o którym tu mowa jest baczny obserwatorem środowiska literackiego. Jego pasja dziennikarska sprawiła, że nie jest oddalony od zdarzeń dnia dzisiejszego. Ubolewa nad upadkiem relacji człowiek-człowiek. Bliski jest mu człowiek rozdarty wewnętrznie, cierpiący, pogrążony w depresji, nie mogący poradzić sobie ze sobą. I tu nasuwa mi się skojarzenie z teorią dezintegracji pozytywnej Kazimierza Dąbrowskiego. Ten profesor medycyny i zarazem filozof wykazał w swoich dziełach, że najbardziej wartościową grupą jednostek w każdym społeczeństwie są psychonerwicowcy z powodu wysoko rozwiniętej uczuciowości, wrażliwości i wyobraźni; czują ból świata wyrażając go w twórczości. Poezję Stanisława Stanika przenika patriotyzm i religijność. W wierszach, w których Poeta odnosi się do Boga, bohater liryczny podporządkowuje się w pełni Absolutowi. Nie buntuje się, nie zadaje pytań, nie wątpi w dobroć Boga mimo przeżywanych przez siebie tragicznych cierpień.

Wnikając w twórczość Stanisława Stanika odnosi się wrażenie, że brakuje mu poczucia bezpieczeństwa, którego doznawał w domu rodzinnym, w symbiozie z przyrodą.

Obecnie jest redaktorem naczelnym „Myśli Literackiej” wydawanej przez „Myśl Polską”.

Wartość twórczości jest niezależna od oceny charakteru twórcy, co w tym rozdziale, niestety, muszę ze szczególną mocą podkreślić.



Rys. Jan Stepien

Lech Jaworski

Nie jest częste połączenie wiedzy prawniczej z twórczością poetycką, co charakteryzuje omawianego tu Poetę. Ale nie powinno to zaskakiwać, bowiem precyzja słowa w takiej samej mierze wymagana jest od poety i od prawnika.

Nowoczesną sprozaizowaną formę wiersza Lech Jaworski przeplata z formą tradycyjną, w tym z sonetem. Niektóre spośród wierszy są rymowane. Można odnieść wrażenie, że ceni tradycję, aczkolwiek jest osadzony w świecie nowoczesnym, podejmując działania polityczne. Utrwalił mi się w pamięci wiersz tego Poety, którego rytm wyraża stukot kół pociągu – bohater liryczny jest maszynistą.

Bliskie jest mi zainteresowanie i sympatia Lecha Jaworskiego do ludzi określanych mianem z marginesu, pozornie zwykłymi

pijaczkami, a w rzeczywistości osobami wrażliwymi, o dużej wyobraźni i uczuciowości, odległymi od drobnomieszczańskich kanonów. Świadomy bogactwa funkcjonujących poglądów i wyborów, Poeta stara się zrozumieć ludzki świat, zamiast go oceniać.

Lech Jaworski zatapia się w istnieniu nie oceniając rozmaitych sposobów życia, nie moralizując. Myślę, że człowiek, a w tym miłość erotyczna bardziej absorbuje Poetę niż doceniany i głęboko odczuwany przez niego urok świata przyrody. Dodam, że w wielu jego wierszach dochodzi do głosu intelektualizm.

Lech Jaworski ceni jednoznaczność w postawach bohaterów lirycznych, a więc zarazem odwagę, która jest niezbędna, by należeć do mniejszości nieprzystosowanej do funkcjonujących większościowych poglądów.

Nie każdy z poetów, ku memu niestannemu zaskoczeniu, jest tak fascynującą indywidualnością. W tym wypadku urzekła mnie również magia dwukrotnego niejako poznania Lecha Jaworskiego.

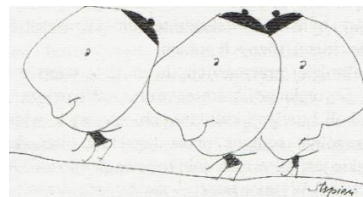
Wielokrotnie rozmawialiśmy m.in. o polityce spotykając się na posiedzeniach Rady Wydziału na Uniwersytecie Warszawskim. Potem z niewiadomych powodów mijaliśmy się przez wiele lat. Nawet w czasie wakacji mimo, że spędzaliśmy je w tym samym czasie, w tej samej małej miejscowości i byliśmy bywalcami tej samej kawiarni, lecz widocznie w różnych porach.

Bardziej przemawiają do mnie te wiersze Lecha Jaworskiego, które są wolne od nawiązań do symboli i tradycji kulturowych. Ale są to wiersze szczególnie cenione przez krytyków literackich. Bliskie jest mi w nich porzucenie filozofii Nietzschego. Wymiar poezji wzrasta, jeśli przenika ją myśl filozoficzna. I odwrotnie. Niejeden filozof, by wymienić Nietzschego, czy Kotarbińskiego, sięgał do poezji dla wyrażenia czegoś niewyrażalnego w języku filozoficznym.

Pięknie wydany tomik Lecha Jaworskiego „Pełnia i nicność” niemal otwiera utwór „Wesoła imprezka” o ważnym przesłaniu. Zażaliny jest rytm tego wiersza. Dzięki swej wrażliwości Poeta odbiera zapewne rytm Kosmosu, który przenika do jego twórczości.

Lech Jaworski wyraża w swojej poezji tęsknotę do tego, co minęło, jak również ku temu, co pragnie, by nastąpiło.

Zdolność Lecha Jaworskiego do empatii – mimo egocentryzmu znamionującego często poetów – sprawia, że prowadzone z nim dyskusje stają się porozumieniem także poza słownym. Poszerzają i pogłębiają odbiór świata w którym przyszło nam żyć.



Rys. Jan Stepien

cdn.

Maria Szyszkowska

Moja walka z rakiem

(15)

2 czerwca 2019

Jak się dowiedziałem już wcześniej od chorych leżących ze mną albo w stojących w kolejkach za badaniami, po każdym kursie chemioterapii jest się oklapniętym co najmniej 2-3 dni. Dotychczas tego nie przeżyłem, pierwszy kurs przeszedłem stosunkowo łagodnie, ale widzę, że teraz to już nie będzie tak łatwo. Czuję się fatalnie. Ważę już tylko 64 kilogramy. Jestem w coraz gorszej kondycji fizycznej. I słaby. Nie pamiętam, kiedy tyle ważyłem: w kopalni, na studiach, a może podczas choroby Tereni? Na pewno dawno, dawno temu. Na skórze zrobiły mi się czerwone plamy, prawdopodobnie po chemioterapii. Nie swędzą mnie co prawda, ale są widoczne. Zmiany te zauważyłem dopiero w piątek po południu, gdy szedłem do sklepu w koszuli z krótkim rękawem. Oczywiście, że zaraz po powrocie ubrałem koszulę z długim rękawem, aby osłonić czerwone plamy na rękach przed słońcem, bo wiem, że słońce działa negatywnie na ciało. Po śniadaniu co prawda pojechaliśmy na spacer do lasu, ale byłem w dżinsowych spodniach i flanelowej koszuli. Przeszliśmy się tradycyjną trasą i nie na słońcu, ale w cieniu drzew, więc nie mogło mi to w niczym zaszkodzić. Na obiad zjadłem kawałek kurczaka z surówką, którą Halinka zrobiła na moje życzenie, zostawiając drugą część na poniedziałek. Kiedyś zjadałem taką porcję na raz. Dziś jest to niemożliwe. Po południu, po krótkiej drzemce, byłem też w szpitalu w ośrodku pomocy nocnej i świątecznej, by zrobić ostatni zastrzyk. Zajrzałem też do dyżurującego lekarza. Mówię jej, akurat była to kobieta, że wróciłem w czwartek z chemioterapii i pokazując zaczerwienie na powierzchni mojej skóry. Nadal to się rozszerza, choć zbytnio nie swędzi. Wystarczy, że tylko skórę pomasuję i sprawia mi to jakąś ulgę. W niedzielę pojawiły się już czerwone plamy na biodrach, na udach, na plecach. Informuję też, że będę we wtorek w Rzeszowie na chemioterapii uzupełniającej, więc powiem o tym onkologowi. Ale jeśli ona chce teraz jeszcze mi coś zaaplikować, to pójde do apteki i wykupię lek. Dała mi na wszelki wypadek jakąś receptę, której jednak w niedzielę nie wykupiłem, bo musiałbym udać się do dyżurnej apteki. Ale gdzie jej szukać w niedzielny wieczór, gdy jestem już tak zmęczony. Postanowiłem zrobić to w poniedziałek. „Niech pan stosuje lekarstwo bardzo uważnie, upomina, delikatnie smarując na skórze na niewielkiej powierzchni i obserwując reakcję organizmu”. Zabroniła mi stosować lek od razu na całym ciele, tam, gdzie mam zaczerwienioną skórę. Dostosowałem się do jej wskazań i nie wykupiłem lekarstwa. No cóż, skoro od chemioterapii, to powinno przejść samo, gdy chemia przestanie już tak intensywnie oddziaływać. A

skonsultuję jeszcze z onkologiem w Rzeszowie.

3 czerwca 2019

Myślę już o jutrzejszej jeździe do Rzeszowa i duchowo się do niej przygotowuję, choć jestem zbyt słaby, by mi dali chemię uzupełniającą. Ale może? Podobnie jak w niedzielę tak i w poniedziałek coś tam wymyślą Halince do jedzenia lub picia, nawet galaretkę z owocami polewaną kremem ze śmietany. W sobotę piłem kompot, podobnie w niedzielę, ale mam już go dość. Nie chcę więcej. Powiedziałem Halince, że w poniedziałek pić będę tylko herbatę z cytryną, tym bardziej że cały czas cieknie mi z nosa. Jest to jakiś chroniczny katar, z którym muszę walczyć czy się użerać i to od kilku dni, ale sam nie wiem czy wywołany jest lekami, czy też wiosennym pyleniem drzew i kwiatów. A może flegma weszła mi tak głęboko do płuc i oskrzeli, jeszcze gdy leżałem w szpitalu na chirurgii? I teraz dlatego tak wolno wydobywa się ze środka, gdy piję czy jem? Na biurku mam pełno chusteczek higienicznych i bawełnianych, wypranych przez Halinkę. Posługuje się nimi na przemian. Zbyt zaflęgnięte jednorazowe wyrzucam do śmietnika, a te bawełniane suszę i wrzucam do pralki.

Na obiad jem wczorajszą część kurczaka, którą sam podgrzewam na kuchni z pokrojonymi trzema połówkami młodego ziemniaka. Do tego jem surówkę z kiszzonej kapusty. I popijam herbatą z cytryną. Nie chodzę głodny, choć jem tyle co kurczaczek, ale często, by jeliła miały co trawić. Niektóre rzeczy są moim pomysłem, inne Halinki. Na pewno mleko z płatkami kukurydzianymi to mój pomysł, podobnie jak jajko w majonezie z ogórkiem kiszonym posypane szczypiorkiem.

4 czerwca 2019

Jadę do Rzeszowa na uzupełnienie ubiegłotygodniowej chemioterapii. Bus mam o 5.55. Wczoraj spakowałem niezbędne rzeczy. Ubieram dżinsy i koszulę flanelową. Na termometrze 14 stopni. Nie powinno być chłodno. Ale na wszelki wypadek biorę parasol, by nie być Polakiem po szkodziu. Choć mam wątpliwości, czy będzie mi potrzebny. Piękna pogoda, ale przecież zapowiadali burzę w nocy i również w ciągu dnia. Rzeszowie jestem już po 7.00, a w szpitalu – po 7.30. Znam już drogę do centrum dobrze. Idę bez wahań i wątpliwości. Przed gabinetem, gdzie pobierają do badania krew, nie ma zbyt wielu pacjentów. Ale czy to pomoże mi w szybkim załatwieniu? Doktor P. powinna rozpocząć badania pacjentów o 8.00, tak widnieje na tabliczce, a w rzeczywistości przychodzi do gabinetu dopiero po 9.30, pewnie dopiero po wizycie na oddziale, która zawsze rano odbywa się z udziałem prof. B., ordynatorem. Jak zwykle wywoływanie pacjentów odbywa się wg harmonogramu czy scenariusza, który czekającym przed gabinetem nie jest znany. Ale zdaje się, że przyjmują najpierw tzw. przypadki najcięższe, a dopiero potem innych pacjentów. Czekających multum. Niby wziąłem

jakąś lekturę i notatnik, ale nic nie chce mi się robić. Czekam i myślę, kiedy zostanie przyjęty. Mija jedna godzina, druga, trzecia. Nic nie wiem, czy nawet jestem zarejestrowany. Tylko tak uważam. Wreszcie pielęgniarka wynosi jakąś listę, na której widnieje także moje nazwisko. Jest zamalowane na czerwono. Przynajmniej wiem, że jestem na liście. Bo miałem wątpliwości. A może należało zrobić EKG? A ja nie wziąłem skierowania, bo nie było na nim terminu, więc potraktowałem, że dotyczy rozpoczęcia kolejnego kursu chemioterapii, który ma się odbyć za 2 tygodnie. Wreszcie około 12 jestem wezwany do gabinetu. Pokazuję dr P. moją zaczerwienioną skórę na rękach, plecach i na pośladkach. Pyta mnie, czy czuję swędzenie. Mówię, że nie i że byłem z tą dolegliwością na pogotowiu w Stalowej Woli. Pyta mnie dalej, czy chodziłem obnażony po polu. Mówię, że nie. Byłem na spacerze w lesie, ale w dżinsach i flanelowej koszuli. Nie zapisuje mi na zaczerwienie skóry żadnych leków poza receptą, którą już dostałem. Natomiast aplikuje mi kolejną dawkę zastrzyków Zarzio 48 ml j., w sumie 5, po jednym dziennie, które mają pobudzić mój szpik kostny do produkcji leukocytów. Kupuję wszystko w aptece szpitalnej, podobnie jak poprzednio, patrząc na cenę 5 zastrzyków. Kosztują 420 zł, ale płacę ryczałtem – 42 zł. Niestety, chemii uzupełniającej nie otrzymałem. Wracam do domu wściekły na niepotrzebny przyjazd, zmarnowany czas. Powiedziałem jeszcze dr P.: jaki ma to sens, żebym przyjeżdżał tutaj rano i odjeżdżał z niczym w południe. Otrzymuję na to odpowiedź: „nie, stety, nie rozerwiemy się czy nie rozdwoimy”. No cóż, nie będę bić głową w mur. Czasami mi się wydaje, że czytam „Czarodziejską Górę” Tomasza Manna.

5 czerwca 2019

Zaczynam się odżywiać według smaków. Rano jem biały ser, przyrządzony przez Halinkę, który wzmacniam niewielką ilością śmietany i majonezu. Tak, do smaku. Po godzinie zabieram się za śledzia w oleju i majonezie. Jajko w majonezie przekładałam na 10.30. Nie wolno od razu się tak obżerać, choć apetyt powoli odzyskuje. Na obiad każe sobie przygotować stek z surówką z kiszzonej kapusty. I to wszystko zjem, choć bez żadnego pieczywa, poza bułką wczorajszą, którą jadłem do śniadania. Niestety, na razie żadnego pieczywa i ziemniaków. Nie przechodzą przez gardło. Planuję je dopiero na piątek z kefirem i jajkiem sadzonym. W czwartek zaś na obiad zaplanowałem wątróbkę drobiową z konserwową czerwoną papryką. O śledziu po chłopsku czyli w oleju z majonezem i kiszonym ogórkiem czy jajku już nie wspominam, bo jest to prawie w moim codziennym menu.

Zmiany na skórze ze się zmniejszają, choć jeszcze są dość widoczne, ale wierzę, że obejdzie się bez specjalnych lekarstw czy maści. Mam nadzieję, że znikną same.

Miroslaw Osowski

POEZJA

Małgorzata Anna Bobak-Końcowa, *Papierowe serwetki*. Redaktor tomiku: Marta Klubowicz. Korekta: Katarzyna Kusojć. Akwarela na okładce: Małgorzata Anna Bobak-Końcowa. Opracowanie: Wanda Mierzejewska. Wydawnictwo ANA-GRAM, Warszawa 2019, s. 76.

Krzysztof Budziakowski, *Choć nasze łodzie przeciekają... Notatki lipnickie*. Redaktor tomu: Wojciech Kuczkowski. Posłowie: Józef Baran. W tomie zaprezentowano reprodukcje obrazów Tadeusza Boruty. Portret autora na IV stronie okładki: archiwum prywatne autora. Seria wydawnicza: Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”, t. 184. Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2020, s. 92.

Dominik Ćwik, *Cierpliwość niespokojna*. Wydawca: WBX Studio Graficzne, Drukarnia Wydawnictwo, Rzeszów 2020, s. 56.

Magdalena Kapuścińska, *Pieśń nocy. Monodram/ The Song of the Night*. Przełożyła Ewelina Duchnik. Redakcja, korekta i projekt okładki: Magdalena Kapuścińska. Posłowie: Urszula Lewartowicz. Recenzja na okładce: Monika Magdalena Krajewska. Obraz na okładce: Teresa Gęsiarz. Oprawa graficzna okładki: Paweł Olejnik. Wydawnictwo Autorskie Magdalena Kapuścińska, Wieluń 2020, s. 212.

Maria Zofia Lewandowska, *Źródło*. Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Korekta: Zespół. Redaktor techniczny: Krystyna Samsel. Na okładce wykorzystano akwarelę autorki. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2020, s. 70.

Czesław Markiewicz, *Tropy*. Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2020, s. 72.

Ryszard Michalski, *Pieśń o nadziei i miłości*. Redaktor prowadzący: Bartosz Płotka. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Korekta: Zespół. Redaktor techniczny: Paweł Banasiak. Ilustracje: Krystyna Michalska. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2020, s. 62.

Anita Pawlak, *Symfonia duszy*. Redakcja, wybór wierszy i posłowie: Kazimierz Burnat. Projekt okładki: Monika Michalica. Wydawca: Dolnośląski Oddział ZLP we Wrocławiu, Wrocław 2020, s. 76.

Rykowsko. Rocznik poetycki 2020. Redakcja, korekta i projekt okładki: Magdalena Kapuścińska. Oprawa graficzna okładki: Paweł Olejnik. Wydawnictwo Autorskie Magdalena Kapuścińska, Wieluń 2020, s. 164.

Słowo – jest czynu testamentem. Antologia. Redakcja i wybór tekstów: Kazimierz Burnat. Projekt okładki: Ewa Moskała, Kazimierz Burnat. Współpraca redakcyjna: Oksymoron. Wydawca: Dolnośląski Oddział ZLP we Wrocławiu, Wrocław 2020, s. 140.

Leszek Szaruga, *istnienie*. Opracowanie graficzne i typograficzne: Jakub Żabiński-Sikorski.

Korekta: Antoni Zajac. Zaulek Wydawniczy „Pomyłka”, Szczecin 2020, s. 64.

Alicja Tanew, *Późniejsza dziewczyna*. Redakcja: Alicja Tanew. Korekta: Marzena Dąbrowa-Szatko. Koncepcja układu: Jacek Sidor. Na okładce zdjęcie autorki: Leszek Mardosz. Wydawca: Scena ATA, Kraków 2020, s. 168.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Kazimierz Braun, *Teatralizacja życia. Praktyki i strategię*. Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Redakcja techniczna: DYWIZ. Korekta: Zespół. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2020, s. 278.

Remigiusz Grzela, *Z kim tak będzie ci źle, jak ze mną? Historia Kaliny Jędrusik i Stanisława Dygata*. Opieka redakcyjna: Wojciech Karkoszka. Redakcja tekstu: Weronika Werewka. Projekt graficzny wnętrza książki: Irena Jagocha. Adiustacja, korekta: Pracownia 12A. Projekt okładki: Eliza Luty. Wydawnictwo Otwarte Sp. z o.o., Warszawa 2020, s. 464.

Natalia Maliutina, *Ukraińska dramaturgia końca XIX i początku XX wieku*. Redakcja naukowa: Bogusław Bakula, Agnieszka Matusiak. Recenzenci: prof. zw. dr hab. Jarosław Poliszuk, prof. Tetiana Meyzerska. Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Redaktor techniczny: Dariusz Żulewski. Korekta: Zespół. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2020, s. 272.

ks. Józef Tischner, *Nadzieja mimo wszystko*. Wybór i opracowanie: Wojciech Bonowicz. Projekt okładki: Adam Gutkowski. Redaktor Prowadzący: Kinga Janas. Opieka redakcyjna: Katarzyna Węglarczyk. Wybór zdjęć: Kinga Janas. Korekta: Barbara Gąsiorowska, Katarzyna Węglarczyk. Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 2020, s. 252.

Andrzej Titkow, *Inteligent niepokorny w kraju realnego socjalizmu*. Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Korekta: Aleksandra Sitkiewicz. Redaktor techniczny: Iwona Banasik. Fotosy z planu filmu *Przechodzień* – Jakub Ostasowski. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2020, s. 144.

Olga Tokarczuk, *Czuły narrator*. Opieka redakcyjna: Waldemar Popek. Redakcja: Wojciech Adamski. Korekta: Jacek Błach, Ewa Polańska, Krystyna Zaleska. Projekt okładki, ilustracja: Joanna Concejo. Opracowanie graficzne okładki i stron tytułowych: Marek Pawłowski. Fotografia Olgi Tokarczuk na okładce: Karpati & Zarewicz. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020, s. 296.

PROZA

Seymour Baycan, *Gugark*. Przełożyła: Julia Krajcarz. Redakcja: Jerzy Z. Szeja. Korekta: Ilona Siwak. Okładka: Jakub Kamiński. Redaktor

prowadzący: Laurynas Vaičiūnas. Wydawca: Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Wrocław-Wojnowice 2020, s. 408.

Jakub Ciećkiewicz, *Koniec świata na mojej ulicy*. Redakcja: Justyna Rochacewicz. Fotografie: Jakub Ciećkiewicz. Opracowanie graficzne: Natalia Ślęzyk. Korekta: Dorota Bednarska. Wydawnictwo Austeria, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2020, s. 224.

Janusz Stanisław Czarnecki, *Konektom. Cudowny ukryty świat*. Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Korekta: Zespół. Redaktor techniczny: Dariusz Żulewski. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2020, s. 164.

Wang Meng, *Krajobrazy Sinciangu. Tom I*. Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Korekta: Zespół. Redaktor techniczny: Bartosz Płotka. Fotografia na okładce: *Colegota*. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2020, s. 402.

Wang Meng, *Krajobrazy Sinciangu. Tom II*. Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Korekta: Zespół. Redaktor techniczny: Bartosz Płotka. Fotografia na okładce: *Colegota*. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2020, s. 472.

Chen Ran, *Moje życie*. Tłumaczenie z języka angielskiego: Barbara Toczek-Luteijn. Redaktor prowadzący: Mirosława Michalska. Redaktor techniczny: Ryszard Kurasz. Korekta: Zespół. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Wydawca: Time Marszałek Group, Toruń 2019, s. 228.

Janusz Sytnik-Czetwertyński, *Apokatastaza*. Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Redaktor techniczny: Krystyna Samsel. Korekta: Zespół. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Ilustracja na okładce: Krystyna Czetwertyńska. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2020, s. 348.

Liu Zhenyun, *Nie zabiłam mojego męża*. Tłumaczenie z języka angielskiego: Magda Chrobak. Redaktor prowadzący: Mirosława Michalska. Redaktor techniczny: Dariusz Żulewski. Korekta: Zespół. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Wydawca: Time Marszałek Group, Toruń 2019, s. 342.



Rys. Sławomir Łuczyński

O tradycjach Bożego Narodzenia

(Dokończenie ze strony 15)

się tradycją. Dawniej tylko królowie i wielmoże obdarowywali podarunkami swoich dworzan. Podarunki te – stroje, futra, pasy i pierścienie, złote i srebrne łańcuchy, a nawet konie i rzędy końskie – były często bardzo kosztowne.

Podarunki za wierną służbę otrzymywała też czeladź na dworach szlacheckich. Prezentami wymieniali się również sami domownicy. W bogatych domach mieszczan zwyczaj obdarowywania upominkami dzieci powszechny był już w połowie XIX wieku, jednak bardzo rzadko spotykano go na wsi. Tam tylko w najbogatszych domach najmłodsi otrzymywali skromne podarki – jabłka, pierniki, orzechy i drobne łańcuchy.

W naszym stuleciu prezenty pod choinkę stawały się coraz popularniejsze. Ostatnio wydajemy na prezenty więcej pieniędzy niż kiedyś, rzadko wykonujemy je natomiast osobiście. Nie musimy nawet martwić się o ich pakowanie – robią do za nas handlowcy w supermarketach. Prezenty możemy też kupować nie ruszając się z domu – za pośrednictwem Internetu.

To medium zastępuje ostatnio także pocztę w przesyłaniu kart z życzeniami świątecznymi.

Kolędowanie – zanikający obyczaj

Popularny niegdyś bożonarodzeniowy zwyczaj – kolędowanie z gwiazdą, szopką czy turoniem należy dziś do rzadkości i spotykany jest głównie we wsiach południowej Polski, m.in. w Rzeszowskim, Sądeckim i Krakowskim.

Obchody kolędnicze znane były w całej Europie, a ich początki sięgają średniowiecza. W Polsce pierwsze zapisy o nich sięgają XVI wieku, lecz zwyczaj ten prawdopodobnie praktykowano już wcześniej.

Grupki kolędników we wszystkich regionach Polski chodziły od drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia do święta Trzech Króli (6 stycznia), a niekiedy przez cały okres karnawału. Kolędnicy różnili się przebraniem, repertuarem odgrywanych scen i akcesoriami. Jedni pukali do drzwi prowadząc żywe zwierzęta, inni przychodzili z gwiazdą lub szopką, niektórzy z turoniem, konikiem, bocianem i kozą. Na scenie szopek odgrywano jasełka czyli przedstawienie o narodzeniu Chrystusa, kolędujący z gwiazdą śpiewali bożonarodzeniowe pieśni, a tzw. Herody odgrywały przedstawienie o Bożym Narodzeniu i królu Herodzie.

Wizyty kolędników były wielką atrakcją dla mieszkańców wsi. Ci, którzy hojnie ich podjęli, byli wychwalani w rymowankach i piosenkach, jeśli jednak zapomnieli o datku, kolędnicy wyśmiewali ich skąpstwo, niegospodarność, a także... brzydotę ich córek.

Andrzej Dębkowski



Wiersze do napisania

(Dokończenie ze strony 4)

marginesie: lepsze są te mity zbrodnicze, sowieckie, niemieckie? Za mało wywózek, wyniszczeń, gułagów, morderstw?... Gdyby nie Ameryka, Niemcy wygraliby prawdopodobnie obie wojny światowe. Jeśli byłaby druga po wygranej pierwszej. Kto wie, czy dziś jeszcze mówilibyśmy po polsku. I czy Zadura byłby polskim poetą. Nie mamy alternatywy! „Żeby żyć, trzeba trzeźwo chodzić po ziemi”. (B. Prus, „Lalka”).

Kosmiczny paradoks wyziera natomiast z tablicy cmentarnej: MIĘDZYJARODOWY PARK POKOJU / I PRZYJAŹNI NARODÓW / CMENARZ WOJENNY. Iskrzy między parkiem pokoju i przyjaźni a cmentarzem wojennym. Iskrzy między tablicą a tytułem książki. Nie wiem, czy można z tego zrobić wiersz. Nie mój temat. Dwuwiersz o chorych na głowę wydaje się celny. W sumie jakiś pretekst do rozmowy jest, ale wniosek końcowy chybiony. Przekład na trzy języki.

INNY POKÓJ

w krótkiej chwili
po przebudzeniu
nie wiesz
gdzie jesteś
za którymś razem
tak już może zostać
na zawsze

Tytuł się nie broni. Chyba, że chodzi o psychiatryk. Nic na to nie wskazuje. Pierwsza zwrotka to oczywista oczywistość, zdarzająca się każdemu. Ale tylko niekiedy! I nikogo z tego powodu stan chwilowej dezorientacji nie dotknął na zawsze. Chyba, że pod wpływem choroby psychicznej. Myślowo zmierzało to do

aforyzmu: *Krótko po przebudzeniu czasem nie wiesz, gdzie jesteś. Niektórzy przespiają życie, żeby ten stan nie został na zawsze. Ale to myśl sprzed wielu lat. Poeta usiłował zrobić wiersz z oczywistości, choć jego powinność to inność. Przekład tego banału do kwadratu aż na osiem języków!*

NIEZNANE MOTYWY

Rozbita szyba kiosku
i brązowe ślady krwi
które gubią się gdzieś przy dworcu
Tyle zostało z opowieści nocy
słońce w szkle brunatne kleksy na chodniku

Skoro się widzi tylko ślady krwi na chodniku, nie powinno się wmawiać inteligentnemu czytelnikowi (tylko tacy czytają poezję), że „tyle zostało z opowieści nocy”, bo to nieprawda. Ostatni wers zupełnie niepotrzebny, bo w połowie powtarza drugi. Mimo to najlepszy wierszyk z omówionych. Przekład na trzy języki.

śłuchaj głosu swojego sumienia
śłuchaj głosu swej krwi
będziesz wiedział jak pierwszy się zmieniał
i jak drugi wciąż z ciebie drwi

Zadura odkrywa w tym wierszyku niezwyczajne zdolności podsłuchowe i muzyczne: słyszy nawet własną krew (nie mylić z biciem serca, bo to narząd, a krew to ten bezcenny czerwony płyn), która na dodatek wciąż z niego drwi. I próbuje to wmówić czytelnikowi. I namówić do słuchania. Jedno króciutkie pytanie: rzuciło się gościowi na głowę? Przekład na jeden język obcy. Pozostałych siedmiu tłumaczy jednak zrezygnowało.

Podczas lektury pozostałych utworów zauważyłem również wiele niekonsekwencji, miałości i fałszywych mądrości. Np. cała odkrywczość wiersza „Budapeszt” (prawie 30 wersów) sprowadza się do znanego ludowego porzekadła: „Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma!”. Piętnaście razy krócej, a dobitniej i błyskotliwiej. Wtórność myślowa kosztowna. Na tym poprzestane, bo mi wstyd. Przekład na trzy języki.

Nie powinno się stosować aforystycznego stylu, jeśli się nie posiada talentu aforysty. Dobitnie to widać u Zadury. Alogiczność, miałość i skłonność do gadulstwa. Można przetłumaczyć jego wiersze na wszystkie języki świata. Nie przybędzie im od tego mądrości.

Wojciech Łęcki

Gazeta Kulturalna

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Redaktor prowadzący – Andrzej Dębkowski.

Współpraca: Józef Baran, Małgorzata Dębkowska, prof. Igancy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl